AS

Nr. 40
2 PAŹDZIERN. 1938
CENA 40 GROSZY



GRANDE SOIRÉE

Simone Simon.

PÊLE MÊLE

Większość pięknych Czytelniczek z ulgą przyjmie do wiadomości, że New-York i Paryż jednogłośnie postanowiły skończyć ze smukłą linją. Mody są kreowane na zupełnie inne, niż dotychczas figury, a Hollywood zmienia swe kontrakty i wpisuje jako minimum wagi dla tancerek 68 kilo! Najwyższy czas, żadna moda chyba nie zniszczyła tyle urody kobiecej, co właśnie t. zw. smukła linja! Nie dowodzi to, by miał nastąpić powrót do wzorów baroku, gdyż górną granicę wagi będzie zawsze ustanawiał sport.

Zawsze fachowość lubiąca Ameryka wymyśliła nową naukę: Sztukę rozbierania się. Przedsiębiorcza Mrs Blackborn założyła tam szkołę, gdzie łaknące tej wiedzy panienki i panie mogą na modelach uczyć się, a potem same próbować pod okiem surowej nauczycielki, jak z wdziękiem okazywać dessous.

Inna znów pani, niejaka Mrs Sue ma w New-Yorku agencję modeli reklamowych. Zastanawialiśmy się nieraz, skąd biorą się te cudne główki, figury, nóżki, widywane na ogłoszeniach anglosaskich firm. Oto właśnie taka agencja ma w ewidencji najładniejsze żywe modele, by wynajmować — zależnie od zapotrzebowania — odpowiednie typy.

Tempo! Tempo! Wyścigowiec Bernd Rosemeyer na maszynie Auto-Union, na autostradzie Frankfurt—Darmstadt, łupi 1 km z lotnym startem w tempie 406.32 km na godzinę, 5 km z szybkością średnią 404.585. — Mój Boże, gdzież są — tak niedawne — czasy, gdy francuscy uczeni twierdzili, że szybkość pociągu, wówczas kilkadziesiąt kilometrów tylko, przyprawić może ludzi o pomieszanie zmysłów, głównie z powodu migającego krajobrazu!

Miss Jean Balten wsiada do aeroplanu w Port Darwin w Australji, leci via Singapore, Kalkuta, Bagdad, Aleksandrja, Rzym i po 5 dniach, 18 godzinach i 15 minutach — w tem 7 godzin walki z szaloną burzą nad Syrją — w Anglji w Lympne wynoszą ją już w triumfie na ramionach z aeroplanu. Rekord, ale nie pierwszy, jaki ta dziewczeczka o stalowych nerwach (tak ją nazywają) w swem życiu zdobyła. Oto one: Anglja—Australja 5 d., 21 g., 3 min.; — Anglja—Nowa Zelandja 11 d., 10 g., 25 min.; — Anglja—Brazylja 2 d., 13 g., 15 min.

Kobietka z temperamentem! W 1909 r. urodziła się w Australji, potem z rodzicami przeniosła się do Anglji i tam, zamiast uczyć się muzyki (według planu rodziców), zaczęła brać lekcje pilotażu, a gdy zabrakło jej pieniędzy, to sprzedała na ten cel fortepian. Walczyła z szalonemi trudnościami finansowemi. Tanio kupiony — używany — aeroplan o mało nie przepłaciła życiem, wszystko przełamała, by wkońcu zbierać światowe rekordy.

Odszedł ten, który w tempie olbrzymiem zburzył gmach starej fizyki i stworzył podwaliny naszych obecnych poglądów na materję. Ernest Rutherford lord Nelson umarł. Urodził się w 1871 r. w Nelson w Nowej Zelandji jako jeden z 12 rodzeństwa. Około 1900 r. jest profesorem w Montreal w Kanadzie. W 1909 w Manchester, a w 1919 zaczyna pracować w Cavendish Laboratory w Cambridge, początkowo pod kierunkiem sławnego J. J. Thompsona. — Doktorską swą pracę pisze na temat telegrafji bez drutu, ale prędko przechodzi do dziedziny, która miała uczynić go sławą. Badał promieniotwórczość, rozpad pierwiastków (była to era Becquerela i Curie *), przemiany tychże, wykazał ku oburzeniu ortodoksów nauki, że pierwiastki dadzą się przemieniać, że najprawdopodobniej wszystkie pochodzą od wodoru, zmienił nasz pogląd na atomy i wykazał, że nie są to niepodzielne kulki, lecz całe systemy planetarne. Laureat Nobla w 1908 roku, obsypywany zaszczytami i tytułami, niestrudzony badacz, był przytem przemiłym, porywającym słuchaczy i otoczenie człowiekiem. Kochały go dzieci i dorośli. Bardzo interesujący mówca, na jedno tylko oburzał się: „że niektórzy biorą siebie tak poważnie!“ — prostota, właściwa wielkim ludziom . Pochowany został wśród najzasłużeńszych w Westminster Abbey.

Posiadacz rekordu największej szybkości na ziemi, Sir Malcolm Campbell zdobył i absolutny rekord na wodzie. Na Lago Maggiore w łodzi motorowej, nazwanej — jak jego dawny rekordowy wóz — Blue Bird osiągnął szybkość 203,300 km/godz. Może to się wyda niektórym niewiele i może sobie niejeden nie zdaje sprawy, jak dalece niebezpiecznym jest ten sport. Trzeba widzieć wyścigowe łodzie w pędzie, by ocenić, co to znaczy. Łódź rozpędowa dotyka wody tylko tylnim końcem i co chwila unosi się ponad powierzchnią. Hełm na głowie mają wyścigowcy nie od parady, bo wypadnięcie z łodzi grozi śmiercią; przy większych bowiem szybkościach woda jest bardzo, ale to bardzo „twarda“. Poprzedni rekord należał do Amerykanina Gar Wooda i wynosił 200.900 km/godz.

Poczciwy „Times“, choć najpoważniejsza gazeta Anglosasów, zawsze znajduje łezkę dla słabości ludzkich. W jednym z ostatnich numerów poświęcił prawie całą szpaltę pierwszej strony listowi, wysłanemu przez parę staruszków w Danji, pod adresem: „Mr. Sherlock Holmes, 221B Baker Street London“. Bo i rzeczywiście co z takim listem zrobić, w jakiej formie go zwrócić? Powiedzieć: „wyjechał, umarł“, lub coś podobnego za bardzo mija się z prawdą. A kto zdobędzie się na odwagę donieść tym, którzy wierzą, że ich ideał nie egzystuje? „Times“ nie znajduje wyjścia z sytuacji.

W Ameryce biorą się nie na żarty do walki z posuchą. Oto kosztem 600 miljonów dolarów wykańcza się doprowadzenie wody z rzeki Colorado do suchych, ale żyznych okolic Kalifornji. Przestrzeń do pokonania? Drobnostka: tylko 1300 km. — Jest to największe dzieło inżynierskie świata, zwłaszcza jak się weźmie pod uwagę trudności do pokonania. Wyliczę tylko parę: pokonanie różnicy poziomów, walka z piaskiem przy prowadzeniu kanału przez pustynie — trzeba było do 20 metrów piasku usuwać, umacniać brzegi żelazobetonem, przebijać się przez góry 46 tunelami o łącznej długości 140 km. i t. d. — To też kanał ten nosi słusznie dumną nazwę All America Kanal.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, Anglja założyła „Imperial Bureaus of Soil Scienne“ (biura nauki o ziemi), mające na celu badanie tych złowrogich objawów i zaradzanie skutkom, względnie zapobieganie.

Nie są to żarty! Z samej Ameryki — która najwcześniej ujęła to statystycznie — podają, że miljony akrów już tam są nieużytkami, dalsze alarmujące wieści dochodzą z Afryki (Sahara powiększa się w stronę Ugandy) z Chin, Rosji, Australji i t. d. Gdyby to poszło dalej w takiem tempie, to za niedługi czas zapanować mógłby na świecie powszechny głód, jako klęska, grożąca bardziej bezpośrednio cywilizacji, niż przepowiadane wyczerpanie się węgla czy żelaza.

Słyszy się wciąż o rozmaitych medjach i zjawiskach nie z tego świata. Jedną frapującą nowinę donoszą z tego pola gazety angielskie. Oto młodziutka, bardzo przystojna i lubiąca sporty panienka w Londynie, w transie mówi po staroegipsku i profesorowie uniwersytetu z uwagą słuchają jej rozmówek, uzupełniając swój słownik, ucząc się wymowy (autentycznej?), jednem słowem realna korzyść z nierealnie brzmiącej wiadomości. Czy i to nie okaże się zwyczajnym (lub genjalnym) bluffem — okaże czas. Narazie gazety nie podają nazwiska, bo panienka chce mieć spokój i nie pragnie sławy.

Na drugiej półkuli kto inny jest sensacją dnia. Oto Anglik Major Lawrence Lee Basley Angos, zamieszkały w apartamencie hotelu Waldorf Astoria w New Yorku, nie mniej nie więcej, tylko przepowiada kursy akcyj i wogóle konjunktur na rynku finansowym. Rzecz musi być poważna, jeżeli miljonerzy i bankierzy amerykańscy tygodniami czekają na audjencję i płacą 200 dolarów za minutę rozmowy. Poza tem tenże major wydaje maleńką gazetkę na różowym papierze, której abonament kosztuje tylko... 5000 dolarów.

Niema w tem nic niesamowitego, ani kul kryształowych, ani dziwnie wirujących stolików. Major sam mówi o sobie, że ma tylko zdrowy rozum. Karjerę zaczął od tego, że kilka lat temu bez błędu przepowiedział kilka ważnych zdarzeń finansowych w Londynie, zwrócił na siebie uwagę City i —. karjera gotowa.

Urzędy skarbowe biją też rekordy: w New Yorku sąd rozstrzygnął, że żebracy, zarabiający ponad 150 dolarów miesięcznie, muszą płacić podatki.

W Anglji budują już w stoczni John Brown et Co Ltd, Clydebank, siostrzany okręt dla Queen Mary. Będzie nim „Księżniczka Elżbieta“ o pojemności 85.000 ton. Dla porównania dodam, że okręt Kolumba miał 220 ton. Ale nietylko my budujemy olbrzymy. Oto za Ptolomeuszów w Egipcie zbudowano już okręt i to luksusowo urządzony, długości 128 metrów, wysokości 25, a szerokości 17. A było to w drugim wieku przed Chrystusem! Tak, dawniej też ludzie mieli rozmach.

Zdawałoby się, że wieczne pióro to par excellence wynalazek nowoczesny. Nic podobnego! Nicolas Bion, inżynier od przyborów matematycznych, zostawił w jednem ze swych dzieł rysunek „une plume à reservoir“ — pióra ze zbiornikiem, bardzo podobnego do naszych, już w roku 1725.

Poczta pneumatyczna, dopiero teraz w ogólnem mniej więcej użyciu, wymyśloną była przez George'a Medhursta, angielskiego zegarmistrza w tymże roku.

Jerzy Dołęga Lewandowski.

*) As nr. 1, 1936 r.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 40 **Niedziela, 2 października 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 40-GO:

Problemy życia codziennego:

DLACZEGO LUDZIE CIĘ NIE LUBIĄ?

O powodzeniu decyduje czesto nietylko umiejętność współżycia z bliźnimi, wypływająca z odpowiedniego wychowania, ale i właściwe, samodzielne kształtowanie charakteru w późniejszych, dojrzałych latach życia. Str. 4—5—6.

Gwiazdy Warszawy:

INA BENITA I EWA STOJOWSKA...

...dwie wybitne artystki, których wdzięk, uroda i niepospolity talent błyszczą pełnym blaskiem w komedjach muzycznych, granych na deskach Teatru Malickiej w Warszawie. Str. 13.

BLASKI I CIENIE KRÓLEWSKIEGO SŁOŃCA.

300-lecie urodzin Ludwika XIV obchodzone jest we Francji szeregiem imprez, budząc refleksje na temat dziejów Francji i reprezentowanego przez króla „wersalskiego absolutyzmu". Str. 14—15.

Nowy Konkurs Magazynu „As":

JAK SPĘDZAM WAKACJE?

Serja wspaniałych zdjęć, ilustrujących zarówno wysoki poziom Konkursu, jak i żywe zainteresowanie nim Czytelników „Asa". Str. 16—17.

ILUZJONISTA-AMATOR.

Szereg fachowych wskazówek umożliwi zainteresowanym zgłębienie tajemnicy niejednej sztuki magicznej, którą potem można z pełnem powodzeniem demonstrować w salonie, wobec znajomych. Str. 18—19.

Z teki muzycznej „Asa":

„NA GRUZACH HISZPANJI".

Fragment ilustracji do obrazu baletowego Feliksa Parnella, kompozycji Zygmunta Wiehlera. Str. 22.

VANITY FAIR RIWIERY.

Jak wspaniały, barwny film przewija się na „Lazurowym Brzegu" życie międzynarodowego high-life'u, pełne najwymyślniejszych zabaw i uciech. Str. 24—25.

Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Roboty ręczne. — Kosmetyka. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor. — Rozrywki umysłowe. — Nowe książki. —



Fot. Scherl.

W chwilach, gdy wszystkie niemal kraje europejskie przeżywają w związku z problemem sudeckim godziny pełne dramatycznego wyczekiwania, myśli i uczucia setek milionów ludzi biegną podniebnym szlakiem wślad za armjami skrzydlatych żołnierzy, które w decydujących momentach wojny mogą skutecznie obronić niejeden kraj przed inwazją nieprzyjaciela. — Na zdjęciu: Efektowne ćwiczenia samolotów, rozsnuwających na niebie dymne zasłony.

PROBLEMY ŻYCIA CODZIENNEGO:

Dlaczego ludzie cię nie lubią?



Zapytanie takie oczywiście nie ma celu w odniesieniu do osobnika, którego zdecydowanie ujemny, lub nieznośny charakter jak i zachowanie się wykluczają wszelkie w tej kwestji wątpliwości, tak, że niema się nad czem zastanawiać. Jakże często natomiast będzie ono aktualne, gdy człowiek skądinąd przyzwoity, jednak nie cieszy się sympatją swego otoczenia, lub znajomych. Wówczas zaproszenia, powodowane samą jedynie chęcią użycia przyjemności jego towarzystwa, a nie ubocznymi względami, nie są częste — gdy on sam zwraca się do ludzi, z chęcią nawiązania kontaktu, często natrafia na brak czasu u nich, lub inne przeszkody — wchodząc do kawiarni lub lokalu nie widzi na twarzach znajomych miłego uśmiechu i nie spotyka się ze zapraszającym gestem, aby usiadł przy nich. — W biurze lub innym warsztacie pracy, przełożeni, koledzy lub podwładni nie są skłonni oszczędzać go przy jakiemś jego potknięciu się, ani nie starają się ulżyć mu w trudnościach, które napotka.

A przecież ma naogół dobre chęci w stosunku do otoczenia, nikogo wprost nie krzywdzi ani nie obraża, tylko tak jakoś wszystko źle się składa.

Oczywiście przyczyny tego mogą być najrozmaitszej natury. Każdy człowiek ma wady. Jeśli jednak ludzie kogoś nie lubią, to znaczy, że mu jego wad nie przebaczają, i to nawet takich, które sami mają. Najlepiej dzieje się osobnikom, obdarzonym dużym, osobistym wdziękiem. Ci mogą sobie nieraz na niejedno pozwolić bezkarnie. No, ale nie każdy ten wdzięk posiada, a jednak żyć z ludźmi trzeba, przyczem miło jest czuć się lubianym.

Poniżej: ...bo usiłujesz zaimponować im bogactwem, które zdobyłeś „psim swędem".



Podstawy sztuki współżycia z ludźmi, tego prawdziwego savoir-vivre'u otrzymuje się już we wczesnej młodości, przez dobre wychowanie. Jest to tak zwana „Kinderstuba", której nie zastąpi późniejsze nawet najstaranniejsze studjowanie drukowanych savoir-vivre'ów. Cóż bowiem pomoże znajomość litanji poszczególnych przepisów, gdy ktoś nie nabrał tego zasadniczego nastawienia, które każe mu w odpowiedni sposób reagować w różnych nadarzających się sytuacjach towarzyskich. Nastawienie to, to przedewszystkiem delikatność i poczucie swej godności, która w połączeniu z pewnem doświadczeniem daje t. zw. takt towarzyski.

Być bez zarzutu, to jednak jeszcze nie wystarcza, by być lubianym. Do tego trzeba jeszcze czegoś więcej. Poza tem należy odrazu rozróżnić dwie

kwestje — czy ma się do czynienia z lubieniem przez płeć przeciwną, czy przez wszystkich, bez różnicy płci. Są mężczyźni, którzy są lubiani przez kobiety, a nie cieszą się sympatją innych mężczyzn, i naodwrót kobiety lubiane przez mężczyzn, a nie cierpiane przez swe towarzyszki. Takie lubienie zawsze wydaje mi się podejrzane. Natomiast fakt, że ktoś jest lubiany przez przedstawicieli lub przedstawicielki swej własnej płci, jest raczej dowodem, że zasadniczo jest miły, i tem samem nic nie stoi na przeszkodzie, aby był lubiany także przez płeć przeciwną.

Przypominam sobie pewną rozmowę w gronie kilku osób prowadzoną, której temat był dość interesujący i wymagający pewnego poziomu myślenia i przeprowadzania dyskusji. Poza tem był on tego rodzaju, że płeć rozmawiających osób miała wpływ na zapatrywania; istnieje bowiem szereg spraw, na które kobiety zapatrują się trochę inaczej, a mężczyźni inaczej. Tak było w tym wypadku i dyskusja zapowiadała się interesująco.

Jedna z pań, biorąca udział w rozmowie, była wyraźnie obdarzona przez naturę szeregiem powabów umysłu i ciała, ograniczała się jednak lojalnie do rzucania na szalę dyskusji jedynie powabów umysłu. Cóż, kiedy jeden z panów, niezwykle wrażliwy na jej wdzięki, w wyraźnej chęci przypodobania się jej, a chcąc poprzeć jej zapatrywania, zaczął używać w dyskusji tanich, efekciarskich chwytów, budzących wprost litość. Sprowadził w ten sposób rozmowę do takiego poziomu, że nie warto jej było podtrzymywać. Toteż wszyscy zorjentowawszy się, że dalsze jej prowadzenie byłoby tylko paleniem ognia, przy którym nasz lizus piecze swoją pieczeń, dali spokój i poszli grać w bridge'a.

Jegomościowi owemu nie udało się zresztą zjeść tej upragnionej pieczeni; pewne znaki na ziemi i niebie wskazywały, że zjadł ją ktoś inny, i to taki, który w tej dyskusji był przeciwnikiem uroczej pani. Owego zaś przyjaciela płci pięknej, mężczyźni między sobą nazwali „miglancem" i wątpię czy będą szukać jego towarzystwa.

Typem ogólnie lubianym, jest tak zwany dobry kompan. Nazwy tej nie należy brać powierzchownie, jakoby oznaczać miała tylko towarzysza pełnego konceptów i nie wylewającego za kołnierz. Naprawdę dobrym kompanem jest ten, kto będąc w kompanji umie być elementem, jednoczącym wszystkich w duchu wspólnej i dla wszystkich miłej zabawy. Przypominam sobie jednego ze znajomych, inteligentnego i dowcipnego młodego człowieka, który zupełnie był znośny w czysto męskim gronie, gdy jednak w towarzystwie znalazły się kobiety, którym chciał się podobać, odrazu wprowadzał nastrój współzawodnictwa z innymi mężczyznami. Potrafił wyłowić każde mniej zręczne odezwanie się któregoś z nich, skierowując perfidnie na nie uwagę swoją i innych, dowcipne zaś lub trafne odezwania się towarzyszy pomijał milczeniem, przechodząc nad

Poniżej: ...bo bawiąc u ludzi obcych zachowujesz się tak, jakbyś był u siebie w domu.





Na lewo: ...bo chwalisz się przed przyjaciółkami powodzeniem u mężczyzn, którzy zapewniali je o wierności swych uczuć.

niemi do porządku. W rozmowie zwracał się przedewszystkiem do kobiet, i wybierał tematy dla innych mężczyzn raczej obce, o okolicznościach im mniej znanych, przez co wyeliminowywał ich z rozmowy, zwłaszcza, gdy byli mniej od niego obrotni. Mężczyźni nie mogli mu nic wprost zarzucić, bo nie popełniał niczego, o co możnaby zaczepić, ale nie lubieli go zupełnie słusznie.

Przy tej sposobności muszę podkreślić, że w takich właśnie wypadkach wychodzi na jaw jak stosunkowo mało jest u nas kobiet, któreby posiadały dość wyrobienia towarzyskiego, aby oprzeć się urokowi takiego pana i mimo niego skierować z powrotem rozmowę na tematy dla wszystkich dostępne, wyrównując w ten sposób szanse towarzyskie innych mężczyzn.

Naprawdę trudno strawnymi typami są: typ „wygłupiacza" i typ „besserwissera". Pierwszy kilkakrotnie i tak świetnie wykpiony przez Szekspira, to taki, co ciągle musi



Na lewo: ...bo będąc żonaty zbyt wymownie akcentujesz swe sympatje wobec młodych panien.

być dowcipny. Taki pan już z odległości kilku kroków wita się ukłonem, który ma być zabawny, potem podaje ci rękę również dowcipnie. Minę ma sztucznie poważną i mówi kwiecistymi okresami. Lubi przekręcać słowa, aby być zabawnie i wszystkim naokoło daje pompatyczne tytuły, przyczem, broń Boże, sam się nie śmieje z tych konceptów. Przy bridge'u do każdej dorzuconej karty dorzuca powiedzonko, przyczem jedno i to samo potrafi powtórzyć kilka razy pod rząd. Jest to rodzaj transu, w który wpada już bezwiednie, skoro się tylko znajdzie na gruncie towarzyskim. Może to być najlepszy człowiek, w pracy swej zawodowej nawet zupełnie nie głupi, ale jest nudny przez tą manjerę, a przedewszystkiem nużący. Czy może być lubiany?

„Besserwisser" to znowu taki, co wszystko wie lepiej. Opowiadasz przy nim coś sensacyjnego, co ci przed chwilą powiedziano, on to już dawno wiedział i ma jeszcze



Na lewo: ...bo twoje zachowanie za często wzbudza różne podejrzenia u panów-mężów.

świeższe wiadomości. Opowiadasz przy nim dowcip — dowiesz się, że to stary kawał z brodą. Zacznież mówić o rzeczy, na której znasz się trochę — besserwisser zaprzeczy ci, a potem tonem uświadamiania cię, opowie ci właśnie to, coś ty chciał powie-

Poniżej: ...bo jesteś z reguły niepunktualny.



dzieć, tylko nie zdążyłeś, bo ci przerwał. Nawet nie możesz mieć pociechy w zaprzeczeniu mu i musisz się potulnie zgodzić. Besserwisser wogóle lubi pouczać wszystkich naokoło. Niejednokrotnie robi to w najlepszej nawet intencji, ale jest nieznośny i ludzie będą go unikać.

Ogólną i najważniejszą zasadą dobrego współżycia z ludźmi jest szanowanie ich miłości własnej. Uchybień pod tym względem nie lubią oni i nie przebaczają ich łatwo. Przypominam sobie, że wpadł mi kiedyś w rękę polski savoir-vivre z połowy ubiegłego stulecia. W rozdziale o zabawach i grach towarzyskich znajdowała się taka dobroduszna rada: „Gdy chcesz gościom swym zapewnić przednią rozrywkę, postaraj się zaprosić wraz z innymi garbusa, śmiechu wówczas i żartów coniemiara". Rozczulające — co?

Dziś nie żyjemy już w czasach, gdy grube wyśmiewanie się z ludzkich ułomności było najlepszą zabawą, sprawa jednak oględności wobec ambicji i słabości ludzkich zawsze jest aktualna.

Ludzie, obdarzeni bystrem okiem, wrodzonem poczuciem humoru i dowcipem, specjalnie są narażeni na niebezpieczeństwo urażania swych bliźnich, których śmiesznostki i słabostki łatwiej się przed nimi zdradzają, przybierając odrazu w ich umyśle, jak w krzywem zwierciadle, formę tak zabawną i udatną, że pokusa wypowiedzenia się jest zbyt wielka, aby się jej oprzeć. Znane jest powiedzenie francuskie: „Perdre un ami pour un bon mot". Warto się chyba zawsze namyśleć, czy opłaci się utracić przyjaciela wzamian za chwałę autorską dobrego dowcipu.

Poza tem pamiętać należy, że ludzie nie lubią, gdy im ktoś stara się zaimponować, choćby nawet miał do tego pewne tytuły. Wyższość jednych nad drugimi musi przybierać formy dla tych drugich strawne. Ciekawe jest, że ludzie nie protestują przeciw wyższości, która ma za sobą już pewną tradycję, natomiast bardzo nie lubią wyższości, wyłaniającej się nagle u kogoś, kogo przyzwyczaili się uważać za sobie równego.

Dlatego, jeśli przeciętny człowiek pozna np. wybitnego arystokratę lub bogacza i zostanie przez niego zaproszony, to wspaniałości, które u niego napotka, mogą mu istotnie zaimponować bez wzbudzania u niego zawiści. O ile jest trochę snobem (a któż nim nie jest?), to raczej pochwali się nawet przed znajomymi i w miarę swych możliwości będzie się starał u siebie naśladować to, co zobaczył. Niechno jednak ktoś z jego własnej sfery zacznie porastać w pierze i podciągać w zbyt szybkiem tempie swój standard of life, to będzie się to nazywało, że się „wypina". Niechętnie będzie się słuchało jego opowiadania o podróżach, które odbył, i o sprawunkach, które załatwił. Tak jak niechętnie słucha się opowiadania szczęśliwych rodziców, których dzieci robią szybkie i olśniewające karjery.

Dlatego też, by być lubianym, trzeba objawy swego powodzenia bardzo rozsądnie dawkować otoczeniu, a o swej wyższości dowiadywać się od innych ze zdziwieniem i oburzeniem, jak o złośliwej plotce.

Ostatecznie, mimo różnych nowych obyczajów, ciągle jeszcze rozmowa jest tą formą, w której życie towarzyskie znajduje głównie swój wyraz. Sposób, w jaki ją prowadzimy, ma duży wpływ na to, czy ludzie nas będą lubieć czy nie. Dużą sztuką jest umiejętne słuchanie jak mówią inni i odpowiednie zużytkowanie w dalszej rozmowie tego, co powiedzieli. Ten sposób zjednuje zawsze rozmowców. Znam natomiast dużo ludzi, którzy za najmilszy dla swego otoczenia temat uznali bezapelacyjnie swoje własne osoby i wszystko to, co z temi osobami blisko się styka. Z takim rozmówcą,



...bo przybywszy na umówione rendez vous, lubisz zmieniać w ostatniej chwili projekty.



...bo masz zwyczaj wywracania sklepu do góry nogami, nic nie zakupiwszy.



...bo np. podczas bridża zamiast grać usiłujesz być dowcipny.

albo częściej nawet rozmówczynią, musisz przyjąć do wiadomości, gdzie ta osoba była, jak długo i po co, że mieszkała w tym właśnie, a nie w innym hotelu, że miała wygodne łóżko, a tam znowu dali jej to lub owo do zjedzenia, że się spóźniła na pociąg i dlaczego, a co sobie kupiła, a teraz robi to, a jutro będzie robić tamto itd. itd. Boli cię, że nie potrafisz się jej odwzajemnić podobnymi szczegółami co do siebie i uciekasz. Osoba ta zaś, pełna jak najlepszych chęci, jest przekonana, że świetnie wywiązała się ze swych zadań towarzyskich.

Odwrotną stroną takiego medalu to wcibstwo w sprawy innych. Wprawdzie ktoś powiedział, że nie ma niedyskretnych pytań, a są tylko niedyskretne odpowiedzi, ale mimo tego byłbym zwolennikiem ogromnej rezerwy przy zadawaniu pytań osobistych. O ile ludzie naogół lubią być pytani co do swoich gustów, upodobań i zapatrywań, nawet czasem co do swej doli lub niedoli (ale tu już ostrożnie), to napewno nie lubią pytań co do swoich czynności, co robili lub co będą robić. Wypytywanie o to razi ich poczucie wolności osobistej, a co gorzej grozi konsekwencjami. Co do przeszłości to grozi im konfrontowanie sprzecznych zeznań, co zaś do przyszłości, to pociąganie ich do odpowiedzialności, że nie robili właśnie tego, co zapowiadali. Takie branie na spytki to marny los premjera wobec parlamentu, męże wobec żony, nikt jednak nie ma ochoty mieć w udziale ciemnych stron obu tych urzędów, nie mając równocześnie ich prerogatyw.

Zwyczaj udawania się na proszony obiad z kwiatami dla pani domu, lub posłanie jej koszyka przedtem tegoż dnia, to przy wszelkich pozorach elegancji, w gruncie rzeczy, jak mi się zdaje, jest gruboskórnością. „Dajesz mi zjeść, a więc masz kwiaty i nie spodziewaj się, że potem mam jeszcze obowiązek być wdzięczny". Jakżesz inaczej to będzie wyglądało, gdy bez specjalnej okazji pośle się kwiaty pani, która dała nam sposobność spędzić w swym gościnnym domu kilka miłych chwil?' Taki gest wygląda na to, czem być powinien: odruchem wdzięcznej pamięci i pozyskanej sympatji.

Należy zważać by prezent przez nas robiony nigdy nie był wyrazicielem jakiegoś braku, który moglibyśmy zauważyć u tych, których chcemy obdarować. Ludzie nie lubią, aby ich braki były zauważane. Przeznaczeniem prezentu jest nie zatykać jakąś lukę, ale sprawić przyjemność. Inaczej mija się z celem.

Kto chce zyskiwać sympatję ludzi niech nie pomija sposobności pochwalenia u nich tego, co stanowi ich punkt ambicji. Nie musi to być bynajmniej fałszywe pochlebstwo. Prawie każdy objawia w jakimś kierunku większą staranność niż w innych i tam zawsze znajdzie się coś do pochwalenia. Raz będzie to gustowny strój, kiedy indziej urządzenie mieszkania lub ogrodu.

Zawsze wskazane jest chwalić psy i dzieci. Należy pamiętać, że udając się z życzeniami do pani, która niedawno została matką, należy nie poskąpić pochwał noworodkowi, choćby był czerwony i pomarszczony i wyglądał jak wiśnia wymoczona w nalewce. Z pewnością matka nie posądzi was o pochlebstwo, choćbyście nawet trochę przesadzili. Ojciec też. Nie należy też zapominać o tem, że o ile wasze pochwały wypadną wobec większego grona osób, macie szanse zjednać sobie za jednym zamachem życzliwość nawet kilku osób, zależnie od ilości tych, którzy komplement pod adresem ojca dziecka wezmą po cichu do siebie.

Almaviva.



...bo starasz się o względy kobiet, przyrzekając to, czego później nie możesz lub nie chcesz dotrzymać.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W tym tygodniu reprodukujemy tylko nową i ładną serję znaczków Finlandji, nie wyróżniającą się jednak stylem od poprzednich wydań. Zapewne cena tych 4 znaczków nie będzie wynosiła ponad normę 1.5 Mk w najnowszym dodatku Michla. Jedynie znaczki F. I. S. 1938 osiągnęły w tym kraju cenę nieuzasadnioną wysokim nakładem, ale wiadzisiaj sprzedać tylko ze stratą około 30%. Cena znaczków stratosferycznych dojdzie powoli do 4 złotych.

Wszystkie przepowiednie na giełdzie filatelistycznej, choćby były poparte długoletnim doświadczeniem, mogą okazać się zawodne. Niemniej jednak nasza opinja co do bloków „Ostropa" i „Pexip" sprawdziła



Najnowsza serja znaczków finlandzkich, wydana z okazji 300-lecia tamtejszej poczty.

dom, że popyt na znaczki pocztowe i lotnicze jest znacznie większy, niż przy regularnych serjach.

Podobno i Polska ma upamiętnić narciarskie mistrzostwa świata, które odbędą się w Zakopanem w styczniu 1939 roku, niewielką serją. Zobaczymy na niej górala jadącego na nartach będzie to pierwszy w świecie znaczek, łączący moment folklorystyczny ze sportowym i przyjęcie tego projektu jest ze wszech miar godnem pochwały.

Zapowiadamy na następny tydzień serję znaczków sportowych, która ukazała się w Jugosławji podczas igrzysk bałkańskich.

Bloki „stratosferyczne" zostały wycofane z Krakowa w okresie największego popytu. Przypuszczać więc należy, że albo w stolicy zapotrzebowanie przekroczyło spodziewaną granicę, albo też zagranica zamówiła pokaźny pakiet wprost w M. P. i T. Po wykupieniu całego nakładu, nie będzie w odsprzedaży napewno takiej haussy, jak rok temu po smutnej pamięci trójbloku, który można się w zupełności. Jeden z malkontentów twierdził bowiem, że francuski blok będzie cenniejszy, naszem zaś zdaniem niemiecki blok, wydany w spokojniejszym okresie, miał zdecydowanie większą wartość. Zniżka „Pexipu" z 50 pkt. Michla na 15 jest chyba rekordową, podczas gdy „Ostropa" nie straciła wartości. Przy tej sposobności warto zauważyć, że „Pexip", stemplowany okolicznościowo jest trzechkrotnie droższy od „czystego" i że nawet zaciekli zwolennicy egzemplarzy niestemplowanych uważają blok okolicznościowy za pełnowartościowy tylko wraz z właściwym dlań kasownikiem. System przy blokach „stratosferycznych" zasługuje na najostrzejszą krytykę. Nietylko kłopot związany z nabyciem kopert, skandalicznie wysoka ich cena, a przedewszystkiem jakość wzbudziły oburzenie wśród filatelistów. Cały szereg osób wyklucza ponadto, aby faktycznie miano wysłać listy stratostatem, ponieważ z jednej strony niebezpieczeństwo zniszczenia ich jest ogromne, a po drugie nasi zdobywcy przestworzy mogą obciążać swój balon tylko tem, co jest dla dobra ich wyczynu koniecznem. Nasze zaś bloki będą kiedyś tylko ładną pamiątką i to dość pospolitą.

W. H.

KRAKOWSKI KLUB TOWARZYSKI zorganizował sekcję filatelistyczną, której zebrania odbywają się co piątek od godz. 19—22. W lokalu Klubu do dyspozycji członków katalogi i czasopisma. Adres: Felicjanek 6, I p. Goście mile widziani.



NAJCZĘSCIEJ PRZYCZYNĄ NIEMIŁEGO ODDECHU SĄ ZĘBY!

OTO JAK PASTA DO ZĘBÓW COLGATE ZWALCZA NIEMIŁY ODDECH I NADAJE ZĘBOM OLŚNIEWAJĄCY BLASK.

Próby dokonane wśród 2,152 mężczyzn i kobiet (różnego wieku i z różnych sfer) wykazały, że 76% ludzi w wieku powyżej 17 lat ma niemiły oddech, który zazwyczaj pochodzi z nieodpowiednio czyszczonych zębów.

Zwykłe sposoby czyszczenia zębów, polegające na czyszczeniu zewnętrznej powierzchni, zawodzą, gdyż chodzi o usunięcie psujących się resztek, które są po części źródłem niemiłego oddechu i zepsutych zębów.

Pasta do zębów Colgate, dzięki swej przenikającej pianie dociera do szczelin między zębami, usuwając resztki jedzenia i kwasów, powodujących niemiły oddech. Jednocześnie, delikatnie polerujące składniki pasty Colgate, łagodnie, lecz gruntownie, czyszczą emalię, nadając olśniewający blask Twym zębom. Czyść więc zęby pastą Colgate, przynajmniej 2 razy dziennie a staną się one czyściejsze i bielsze, a oddech Twój przyjemny i świeży.



PAN PROWIZOR GAWRON

ZYGMUNT LISIECKI

★

N O W E L A

Zapadał letni zmrok. W małem kresowem miasteczku zamigotały nędzne światełka. Gdzieś z leśnej głuszy począł dolatywać warkot autobusu. Na głos ten mizerne miasteczko zaczęło okazywać pewne oznaki nagłego ożywienia. Jakaś siła raptem poruszyła wszystkich mieszkańców. Flegma, bierność, posępność i tak charakterystyczna dla mieszkańców Kresów obojętność i powolność, zniknęły z ich sennych dusz. Jak na alarm straży pożarnej wybiegli z chat i z zapłoci. Żywiej zabiły serca, ciekawością i oczekiwaniem przemawiały ruchy. Po chwilowem zatrzymaniu się w skupionem zasłuchaniu jeszcze z większem ożywieniem ruszyli na placyk targowy. Tu już zdążył zebrać się tłum. Wyszli naprzeciw autobusu, by przeżyć chwilę jego nadejścia, postoju i odjazdu: Zalesie od miesiąca zaledwie zostało połączone z powiatowem miastem. Od niepamiętnych czasów jedyną łącznością ze światem była droga przez wertepy, dostępna jedynie dla małych wózków i to tylko w pewnych okresach roku. Malowniczość okolicy i łagodny klimat coraz więcej w okresie letnim powiększały liczbę kuracjuszy, szukających zdrowego ustronia na odludziu. Przypadkowo odkryte miasteczko, żyjące na stopie odległych wieków, miało więc niezwykłą atrakcję, ilekroć usłyszało sygnał przybywającego doń autobusu.

— O, o, już w dali zajarzyły się świetlne ślepia maszyny. Trąbi, trąbi, ciągle trąbi, niby powitalna fanfara. Opóźnieni gospodarze wybiegają z chat. Wśród zebranych na placyku żywe poruszenie. W popłochu dają drogę rażącym smugom światła reflektorów. Ktoś z pośpiechu się przewrócił. Uderza mieszanina języków: żydowskiego, białoruskiego, rzadziej doleci dyskretny głos mowy polskiej. Autobus w tumanie kurzu toczy się naprost. Zapalił wewnętrzne światło, lekko zakręcił, oświetlił chaty i w bramach stojących gospodarzy.

Ostatni donośny sygnał, zgrzyt hamulców i — najciekawszy gość Zalesia stanął z warkotem na rynku. O tej porze każdego dnia Zaleszczanie mają swoje święto. Przybycie do nadgranicznego miasteczka autobusu pasażerskiego to poważna, interesująca i pamiętna chwila dla każdego. Kto żyw i zdrów bierze w tem udział. Młodzież kręci się i wszędzie odważnie zagląda. Dotykają z respektem maszyny, jak dziwa godnego największej uwagi. Pan szofer z kasjerem pierwszy wyskoczył. Dumnie rzucił okiem w tłum, wsuwając ręce do kieszeni. Część tłumu wnet go otoczyła, niby bohaterskiego lotnika po zwycięskim rajdzie. Kobiety i dzieci obstąpiły wysiadających. Zgiełk, krzyk, powitania. Zdejmują już z dachu bagaże.

— Przyjechali letniaki — słychać zgodny szept.

I rzecz dziwna. Ten autobus, łączący Kresy z resztą połaci kraju, jakby nagle wynarodowił pstrą masę gapiów. Słychać coraz więcej, a później wyłącznie prawie mowę polską, tę płynną, śpiewną miłą mowę Wileńszczyzny. To język gościnny, mowa oficjalna, urzędowa w takich okazjach, trwających w Zalesiu od miesiąca przez 10 minut każdego dnia.

— Kto przyjechał, do kogo, skąd, poco?

— Pan wuczyciel, sudzia, prakuratar.

— Dzisz, samyja pany. Dosić mają Wilni. Razumi się, goronc.

— A, o, jest i panienka doktorsza, co u przeszłe lato bywszy u nas w balnicy [1]).

— Ao, jaki przystojny panicz, hlań! Musi to inżynier abo akcyza.

— Nie, to gadają, co narzeczony panienki doktorszy, nibyta poseł kitajski [2]), słychać co z Czahaju.

— Dzisz, jakie toboły, skrzynie, lisapied [3]).

— A jak przystrojeni! W sukienki lniane, a tufelki krezysowe ażno nogi gołe.

— Ajajaj, ha, ha!!

Część pierwsza „teatru objazdowego" miała się ku końcowi. Teraz zaczną się snuć bajeczki, anegdoty, fantazje i nieprawodopobne ploteczki. To objaw normalny i powszechny w ubogiem w treść życiu kresowego miasteczka.

— — — — — — — —

Tego wieczora wyjątkowo pan prowizor Gawron nie brał udziału w widowisku miasteczka. Co prawda zwykł z pogardą patrzeć na gorszące nieraz sceny i rozmowy przy autobusie, niemniej jednak zawsze bywał na rynku podobnie, jak i w świetlicy Koła Młodzieży na „żywej gazetce". Ta przypadkowa nieobecność mocno poruszyła wrażliwe nerwy starego prowizora. Spostrzegła to pani szefowa. Przeczuwała przyczynę przeżyć, które odbierały mu spokój i budziły w niej poważne obawy. Pracownik apteczny winien być trzeźwy. Wiedziała przecież, do czego w takich chwilach może go doprowadzić roztargnienie. Roboty było dużo, zastąpić prowizora nie mogła. Myślała: może w pracy zapomni o autobusie i mającej tego wieczora przyjechać studentce Mirskiej, zeszłorocznej dręczycielce nieszczęśliwego starego kawalera. Myliła się, bo prowizor słynnej apteki w Zalesiu, jak najciekawszy tuziemiec był zainteresowany przyjazdem Zoriki. Jego podniecona wyobraźnia już od godziny towarzyszyła maszynie przez całą drogę do miasteczka. Utrudniało mu to szybkie i dokładne załatwianie klientów. Recepty poczęły się jakoś nie zgadzać, rozmieszczone po półkach medykamenty zdawały się stać nie na miejscu.

O, jakże chciał spotkać ją, ucałować jej rączki, podać bukiet przez siebie wyhodowanych kwiatów!

— Nie, znów fatalnie się zaczyna! Tu przecież chodzi o honor oszmiańskiego szlachcica... Chłystek jestem, czy co u licha! Zorika może czekała przy wysiadaniu, może jej nikt nie przywitał, może... Nie, tę głupią miksturę sam chyba zażyję.

[1]) Szpital. [2]) Chiński. [3]) Rower.

Poczciwy pan prowizor Gawron nie miał w życiu szczęścia. Wychowany przez babkę, kobietę, ale i zdala od kobiet, był wzorem potulnego ucznia w prowincjonalnem gimnazjum. Zachowując godność i zwyczaje kresowej szlachty, pełen respektu względem niewiast, przeszedł jak cień przez uniwersytet. Wesołe życie młodzieży wileńskiej nie było mu znane. Górne wzloty akademików i wyżycie się przechodziły obok niego bez echa. Mając romantyczną duszę, i pracując wśród martwych zagadnień farmaceutyki — więcej żył suchą wiedzą, a w chwilach wolnych przebywał w abstrakcji, w reminiscencjach pożeranej lektury. Młodość minęła szaro, bezbarwnie. Starzał się wyraźnie, wpadał coraz więcej w melancholję. Odziedziczony mistycyzm przeszedł stopniowo w chorobliwą zabobonność przedwojennych czasów. I teraz po czterdziestu latach i częstej wędrówce po północnych Kresach znalazł w Zalesiu kobietę, którą pokochał. Okrągły rok żył tylko ukrytem przed ludźmi uczuciem względem panny Zoriki. Trapiony tęsknotą i miłością stary kawaler, dziwak, magister nie mógł tym razem wbrew stałemu swemu zwyczajowi życzyć zdrowia kobiecinie, podając jej lekarstwo.

— A bodaj ich grypa wytrzęsła! Nie mogli to do południa przyjść do apteki...

— To wieleż ja płacę. Co? 2 złote! Nigdy w świecie! Toż ja, panie, brałam w Święcianach rycyny za dwadzieścia pięć groszy, a słyszę, to pan od tego człowieka chce pięćdziesiąt. To pewnie i moje pan przecenił. No, to ileż, po czemu będzie? Daję złoty pięćdziesiąt.

— A, co proszę? Tak, no tak, widzi paniusia, tu apteka... Ale niech będzie złoty pięćdziesiąt. Paniusia widzi, że i autobus przyjechał, ja śpieszę, ale niech będzie złoty pięćdziesiąt...

— A proszę pana, czy to aby moje lekarstwo? I co ja jeszcze chciałam zapytać... Aha, proszę mi wytłumaczyć, czy to proszki od zatwardzenia, czy od rozwolnienia?

— A, co proszę? Tak, no tak. To wszystko równo. Trzy razy na dzień po jedzeniu i na rozwolnienie i po zatwardzeniu. To tak, i ślak, paniusia droga.

— Przepraszam, to do widzenia.

— Uszanowanie paniusi.

— — — — — — — — —

Po załatwieniu reszty klientów pan prowizor Apolinary tego wieczora prędzej niż zwykle zamknął aptekę. W minutę był już w swoim pokoju. Przystanął przy otwartem oknie. Skupiła się woskowa twarz, błysnęła pięknie wypolerowana łysina. Wytężył wzrok, patrząc w kierunku domu doktorostwa. W domeczku-chatynce było jasno. W oknach przesuwały się kontury.

— Przyjechała, jest, jest Zorika!

— Kochana, nareszcie znów w Zalesiu.

Gawron zdjął rogowe okulary. Mętnym wzrokiem ślepca sięgnął w głąb uszczęśliwionej duszy. Serce żywiej zabiło i poczęło radością rozpierać pierś zakochanego prowizora.

Krótko trwał w kontemplacji. Nagle odwrócił się. Nienaturalnym krokiem doszedł do etażerki. Za chwilę niczem sztubak, jak prowincjonalny uczeń fryzjerski, z gracją spryskiwał siebie wrzosowemi perfumami. Jak złodziej wykradł się z domu. Poszedł ogrodem do budynków szpitalnych. Chciał zobaczyć Zorikę. Ostatecznie chociażby zmniejszyć odległość od ukochanej osoby. Wolniutko suwał się niby lunatyk. Doszedł do domku doktorostwa. Z otwartego okna dolatywał dźwięczny śmiech niewieści.

— To ona, ona!

Dreszcz rozkoszy i jednocześnie strachu wstrząsnął prowizorem.

Pamięta dobrze ten śmiech pełen swobody i wdzięku, gdy w ubiegłym roku na plaży podziwiał jej wenusowe kształty. Jakżeż droga, ponętna mu była! Bez jej tegorocznego pobytu w Zalesiu na praktyce w szpitalu dłużej nie mógłby żyć. Te jesienne, samotne, głuche noce, noce surowej zimy kresowej, przebyte na odludziu wśród recept i chemikalij były zbyt ciężkie, wydające go na pastwę najgorszych myśli i budzącej się histerji, aby znów mogły się powtórzyć bez lata spędzonego obok Zoriki. Te, takie ciepłe, trochę żartobliwe, przytem tak rzadkie listy z Wilna od niej nie wystarczały mu, owszem raczej rozpętywały imaginację żądną napastliwie ziszczenia marzeń i snów. Cierpiał, więdnął, do reszty połysiał i przestał grać w preferansa. Zbuntowana krew wyrzutami pokrywała twarz. Aż oto może nadszedł kres tej męki. Zorika — rajski sen — znów się ucieleśniła w Zalesiu. Jest tu, o kilka kroków...

Lecz cóż to magistrze Gawronie, co ci się raptem stało ! Czyś obudził się pod wpływem męskiego głosu, podsłyszanego z pokoju Zoriki? Czyś może dalej układał plany tegorocznych plaż, leśnych gonitw i spacerów przy księżycu?!

A może, może?...

Nie, to okropne. To, co usłyszał, podziałało nań tak, jak na murzyna z Konga zanurzenie w syberyjskiej przeręblі. Zimna ta kąpiel duszy instynktownie odepchnęła go od okna. Oglądając się na wszystkie strony, jakby ukrywając skradzioną, ale parzącą zdobycz, szybko wrócił do aptecznego ogrodu. Siadł na ławeczce. Nadal patrzył zahipnotyzowanym wzrokiem w domek Zoriki — od tej chwili kryjący w sobie palącą tajemnicę.

— Więc jednak te napomykania szefowej, że panna Mirska ma narzeczonego jest prawdą, prawdą jak ona ucieleśnioną i to prawdą przebywającą z nią, u niej? Kimże jest?

Słyszał przecież wyraźnie „Zbyszku". Cóż znaczą słowa „Kochana Zetko"?

— Co oni tam robią?

Szereg drażniących pytań wśród kłębowiska urojeń domysłów i rosnącego żalu owładnęło drżącego aptekarza. Zapalona fajeczka kresowego tytoniu podniecała jeszcze silniej. Chciał wstać, chciał iść, podsłuchać, napisać rozpaczliwy list, wpaść do pokoju studentki, ale jak zawsze, zabrakło mu woli, odwagi i sił. Usłyszał na domiar złego szmer kroków na ścieżce w ogrodzie. Ogarnął go strach, a na widok potężnego konturu szefowej, zdążającej do niego, wpadł w rozpacz.

— Panie prowizorze, to pan? Nie poznałam. Cudowna noc, ale czas już na kolację, chodźmy, proszę, bo zamykam drzwi.

— — — — — — — — —

Po prawie nieprzespanej nocy prowizor Gawron dość wcześnie wstał. Czuł się przygnębiony. Niemniej jednak, ciągle myśląc o Zorice i tajemniczym Zbyszku, wyjątkowo szybko załatwiał zresztą rzadko przybywających klientów.

Zaleszczanie naogół nie chodzili do apteki, mieli swoje leki i swoich znachorów. Dziewczęta czasami przychodziły po pachnące mydła, kawalerowie po grzebienie i brylantynę na bujne czupryny. Wydać jodynę, rycynę czy aspirynę postępowym kmiotkom, to bagatela. Coprawda niemały kłopot powstaje przy regulowaniu rachunku, bowiem z reguły Zaleszczanie nauczeni przez żydów w kramach długo i uparcie się targują, prowizor zwykł być jednak konsekwentny i nigdy nie ustępował, by tylko nie obniżać powagi, jaką winna się cieszyć apteka. Do tego już się dawno przyzwyczaił. Jedynie nie mógł strawić pewnej kategorji klientów, a mianowicie urzędników wszelkich resortów i grup uposażeń. Miał do nich urazę; zczasem przeszła ona w stałe nastawienie. Według jego pojęcia apteka niesłusznie zaczęła tracić dawne swe znaczenie. Apteka, to przecież urząd zdrowia, skład uzdrawiających środków na wszelkie choroby, to wyłączna instytucja stałych cen i gotówkowej sprzedaży towarów. Tak! Żądań i wymagań urzędnik nie ma prawa stawiać. Z kaprysami należy się udać do dentysty, absolwenta Szkoły Stomatologicznej niejakiego Lejzorowicza i tam powierzgać nogami pod świdrem toczącej maszyny, czy przy wyrywaniu szczęki. U niego można zasięgnąć rady, dostać wszelkie lekarstwa, a że aqua destilata jest alfą i omegą apteki — przecież to nie jest jego wina. A kto chce specjalne lekarstwa, modne, to niech jedzie do Wilna lub Wiednia. Jakiś Anglik miał rację: ludzie nie są równi i nigdy równymi nie będą. Ta bolszewicko-hiszpańska standaryzacja człowieka-to szatańska utopja. Choroby jednakże jednakowo wszystkich dręczą, a środki na nie są także jednakie dla wszystkich. Czemu tedy, panie dzieju, urzędnicy chorują na jakąś manję i zapadają na specjalne choroby, żądają jakichś nowych lekarstw I co gorsza, urzędnik bez cenzusu udaje, że się zna na farmaceutyce, sprzecza się jeszcze, poucza, kiedy tu i fatyg i, mówiąc prawdę, szkoda przy obliczaniu jednej czwartej kosztów, a do tego to beznadziejne wyczekiwanie rozrachunku z województwem.

A jednak — chociaż ważkimi argumentami przemawiała smorgońska racja — tego dnia pan Apolinary zrobił wyjątek. Przebywającemu na letnisku młodemu palestrantowi okazywał od pewnego czasu szczególne względy. Lubiał z nim pogawędzić o polityce, o dziwactwach dzisiejszego świata, no, a w tem wszystkiem, według pani szefowej, nie bez znaczenia była urodziwa żona, pani mecenasowa. Nie traktował go jako typowego urzędnika. Był on dla niego człowiekiem światowym, żywą pracą. W istocie rozumiał sędzia los i życie wiejskiego prowizora, nie zdradzał i nigdy nie okazywał ironji, jaką przy pierwszem nawet zetknięciu się budziła oryginalna postać aptekarza. Wprost widział w nim ginący okaz przedwojennych kawalerów-szlachciców, wegetujących jeszcze w rezerwacie ludzkim, jakim są rozległe Kresy.

Nastrojony jednak letniskowym wypoczynkiem nie chciał sobie odmówić przyjemności grania powagi i czasami nieszkodliwie wprowadzać w błąd łatwowiernego prowizora.

— Znów przyszedłem nużyć pana, panie prowizorze.

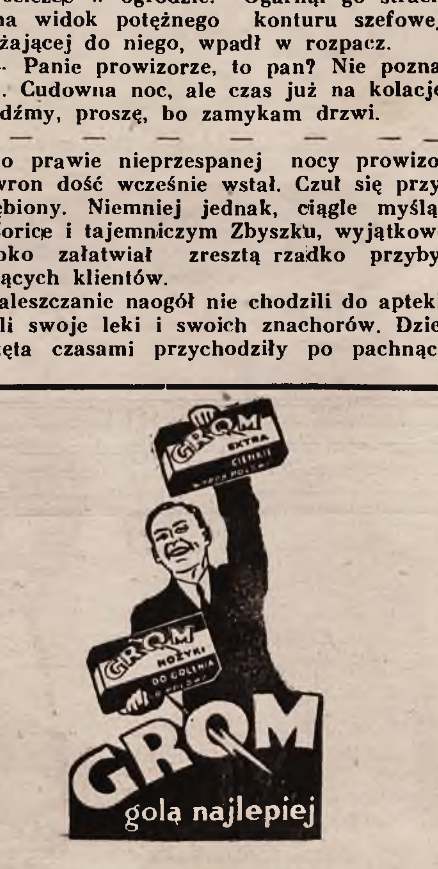
— A, proszę, dzień dobry panu mecenasowi, może co złego? Począł się wczytywać w tekst podanej kartki od doktora, jak zawsze — przez wszystkich lekarzy — pisanej chińszczyzną.

— Hm, znowu niedomagania... Te, panie dobrodzieju, kobiece choroby, to plaga małżonków. Kiepsko, ze wszystkiemi kiepsko, letnisko państwa zmarnowane....

— E, cóż znowu. Zresztą to raczej wina mężów, prowizorze. Ależ u pana tu i gorąco! Jak na plaży.

— A, tak, dzięki Bogu, na rzece będzie ruch. Słyszał szanowny pan, ponoć wczoraj

Dokończenie na stronie 12-tej.



KĄPIEL POLARNA
Fot. Spehner, Strassburg



Dokończenie ze str. 10-tej.
znów ktoś przyjechał do Zalesia na wywczasy. Będzie weselej. Nie wie pan, kto przybył, skąd i zacz?

— Owszem, słyszałem na miasteczku, to do państwa doktorostwa kuzynka z narzeczonym. Kończy uniwerek, może skończy, narazie ma wakacje i panie, eleganckiego narzeczonego.

Pan Apolinary przestał sporządzać lekarstwo.

— Czyż narzeczony, może medyk, student, praktykant? To ciekawe. Pannę Mirską znam z ubiegłego lata, panie, młoda i dzielna kobieta. To ciekawe. Hm, o ile wiem, wówczas jeszcze nie miała narzeczonego.

— E, panie, kto wie, może dziś ma aż dwóch, a wie pan co, śmiem nawet twierdzić, napewno że ma dwóch narzeczonych. Bo i jakże! Dziś tylko gimnazjalistki mają po jednym. Studentki? Jeden może skromny i uwielbiający platonicznie, drugi, według famy tutejszej ludności, to donżuan, panie, dyplomata, bo wmawiali we mnie w spółdzielni, że to niby przyszły poseł z Szanghaju. Żółte niebezpieczeństwo.

— Co pan powie? To niby Chińczyk, coś podobnego...".

—A propos Chin, gazety znów alarmują o ekspansji imperjalistycznej Japonji. Wewnątrz państwa smoka bezrząd, rewolty. Tam to kiedyś rozegra się nowy dramat dziejowy pomiędzy białą i żółtą rasą.

— Tak, hm. A no widzi pan, oto skutki, brak silnej ręki, wodza, króla, bezład, anarchja i podpalenie pokoju. To wszystko, panie dzieju, wynik nieszanowania tradycji, łamanie wiary. Słyszane to rzeczy, aby uczennica miała dwóch naraz narzeczonych? Stąd niemoralność idzie, rozwija się, jak go tam, handel żywym towarem. Alboż czy nie mamy rodowitych, panie Polaków, kresowian, by sięgać do dzikiej Azji po męża?!

Sędzia słuchał poważnie. Zagorzałość rozmówcy, jego gestykulacja i mimika, naiwna krytyczność zachęcały do nowego wprowadzania w błąd łatwowiernego prowizora.

— Trudno ,życie mknie, idą nowe czasy, nowa młodzież, nowe obyczaje!

— Tak, trzeba się uczyć na nowo, przywdziać nową skórę!

Dziś różnie może się człowiekowi przydarzyć. O, naprzykład panie dzieju, jak u nas będąc w towarzystwie pięknych pań, grających naprawdę zachwycająco w siatkówkę. Trzeba jakoś wyglądać, obracać się zupełnie inaczej, niż to dawniej bywało w towarzystwie, nowocześnie bawić damy. I rozumie się, należy samemu dobrze grać w tę efektowną grę sportową. Bo ja naprzykład, panie, o, biję piłkę tam, a ona hyc, leci i pada tu, o, do tyłu. Gol! No, pan to świetnie, cudownie gra i trzeba przyznać ma pan powodzenie, he he, he, panie mecenasie. O, niech pan nie będzie skromny, ja potrafię patrzeć. Te panie spojrzenia niewiast O, o....

— Głupstwo, to już resztki, pozostałości studenckich czasów z A. Z. S., panie prowizorze. Sądzę, że pan będzie niezadługo zupełnie poprawnie grał. Trzeba odważnie, nie zrażać się.

— Co pan powie, naprawdę? Drogi panie, musi pan mi w tem dopomóc. Pragnę ładnie grać, jak inni.

— Ależ z całą przyjemnością. Wobec tego prosimy dziś na godzinę szóstą. Będą zdaje się i studenci, ta panna Mirska i ten poseł z Szanghaju.

— Świetnie, doskonale, bardzo panu dziękuję, bardzo mi miło będzie ,bardzo, bardzo...

— A jak z tym syropem?

— Przepraszam tak, naturalnie, będzie można zrobić. Jeżeli pan życzy, odeślę gotowe za godzinę.

— Dobrze, dziękuję. Cześć panu prowizorowi. Do zobaczenia.

— Szacunek. Daj Boże zdrowia — i z tą sakramentalną formułką pożegnalną prowizor apteki w Zalesiu, pan Apolinary, z całą energją, jak nigdy, zabrał się szybko do sporządzania lekarstwa.

— — — — — — — —

Z niecierpliwością oczekiwał godziny szóstej popołudniu. W duszy modlił się o wolny wieczór. W aptece zrobił generalny porządek. Przymilał się pani szefowej. W trakcie poobiedniej drzemki z radosnem podnieceniem odczuwał piękno życia. Zrywał się kilkakroć, by stwierdzić, czy prężne ma nogi. Wymachiwał rękoma, odbijał fikcyjną piłkę, uśmiechał się, konstatując dobrą formę i odwagę, jaką miał wykazać w dzisiejszem spotkaniu towarzyskiem.

— Doskonale, ta siatkówka, to cudowny wynalazek. Tak, życie dziś idzie naprzód. Dziś trzeba brać życie prosto z mostu...

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Było dużo pań. Zorika przyszła później. Ach, to jej powitanie, spojrzenie, oczy i ten uśmiech wróżyły powtórzenie niezapomnianych zeszłorocznych feryj i może nadziei zadatek, zadatek spełnienia jego sennych marzeń w długie wieczory i noce zimowe. Było mu wesoło, błogo na duszy.

Później przybiegł w spodenkach przystojny młodzieniec. Panna Mirska przedstawiła go nieznajomym jako kolegę. Prysnął czar wieczoru.

— Kolega? to on, Zbyszek, poseł, narzeczony!

Praktykant, pan Zbigniew, dobrze grał w siatkówkę, swobodny był wobec pań. Zoriki jakby nie widział i to właśnie, że dobrze grał, drażniło bardzo starego kawalera. Psuł piłki, widział nagle z tej racji niezadowolenie u Zoriki. Zdawało mu się, że słyszy ironiczne szepty współgrających, widzi gesty i usiłowania skierowania piłki specjalnie na niego. Zmęczony wreszcie fizycznie i podniecony psychicznie nie mógł dojrzeć w zapadającym zmroku szybko odbijanej piłki. Pragnął, dążył, chciał poprawić się w grze. Skakał nerwowo, bronił zajadle, usługiwał serwującym paniom i w tej chaotycznej grze nagle przewrócił pannę Zorikę i sam boleśnie padł.

Grę przerwano, zresztą było już [illegible]no. Jak się zachował, jak wyglądał — nie zdawał sobie sprawy. Podniesiono oboje. Zajęto się raczej nim, niż uśmiechniętą Zoriką. Za chwilę też pani szefowa przysłała służącą po niego do apteki. Czekali klienci.

Nieprzytomny prawie magister zdawał tylko sprawę z gorszącego widowiska, jakiego był przyczyną i hańby ciążącej na szlachcicu oszmiańskim. Splamiony honor wymagał oczyszczenia przez poniesienie surowej kary z rąk ukochanej kobiety.

— — — — — — — —

Pan prowizor Gawron nie mógł normalnie pracować. Wyglądał źle ,nawet schudł, czuł się formalnie rozbity na ciele i na duszy. Z sińców pod oczami i nowopowstałych zmarszczek można było sądzić, że nocą źle wypoczywał. Drażniły go nawet sny. Zajrzał do litewsko-arabskiego sennika i szukał skwapliwie objaśnień widzianych snów koszmarnej nocy. Znaczenia były zastraszające: śmierć, strata majątku, podróż. Inne, sprzeczne z tem objaśnienia odrzucał. Uwierzył tylko w najgorsze trzy. Zmartwił się.

Zagłębił się w chaosie swych myśli i uczuć i począł kojarzyć wszelkie rozwiązania snów.

Poczciwy pan Apolinary mocno wierzył w znaczenie ich, więcej nawet niż w skutki lekarstw. Wiara ta była rodzinną cechą. Babka, która go wychowała, miała całą bibljotekę wszelkich senników.

Zmiana miejsca pobytu i pracy w Wilejce, Oszmianie i Smorgoniach były niczem innem, jak konsekwencją wiary w sny.

Nie słyszał dzwonka u drzwi aptecznych, ni powitania szefowej. Badawcze jej oczy tym razem nie działały na niego.

— Śmierć, nędza, podróż — trzy straszne powiązane wyroki!...

Do apteki wbiegła Zorika.

— Dzień dobry panu. Co to, pan śpi, panie prowizorze?

— A, nie, nie. Dzień dobry, panno Zoriko, całuję rączki. Jakżeż zdrowie? Ja panią, e, bardzo przepraszam, e, za wczorajsze! Proszę mi wybaczyć, proszę pozwolić odpokutować, wykonam wszystko, ale błagam o przebaczenie.

— Ależ panie prowizorze, niema o czem mówić. Stało się. Koniec. Przyszłam po lekarstwo skuteczne, natychmiast działające, silne, niezawodne, zabójcze!

Prowizor Gawron czuł się zmieszany. Zorika wydała mu się podniecona, nienaturalna.

— Co to wszystko znaczy — Poczuł nagle zapach perfum „Czang".

To on, chiński poseł... pomyślał.

„Śmierć, nędza, podróż — trzy piekielne powiązane wyroki....".

— O, Zoriko, kwiecie lotosu, zorzo wśród lilij i bzów! Ja sam zażyję ten zabójczy środek, aby on tylko pogodził nas i połączył na wieki tam w zaświatach.

— Ależ co pan? Całą noc nie spałam, męczyłam się, zostałam niemiłosiernie pogryziona. Chcę w tym roku odrazu skrócić nocne katusze, proszę więc o środek, najlepiej, by to był japoński, na to obrzydliwe plugastwo — spojrzała na ramiona i pierś, pocentkowaną w czerwone kółeczka.

Gawron do reszty stracił orjentację.

Szeroko rozwarte źrenice, błędne wejrzenie, bezruch.

„Sublimat... Zabójstwo.... Sąd". Trzy nowe skojarzone widma.

Tej tragikomicznej scenie przez nawpół otwarte drzwi w jadalni przyglądała się pani szefowa. Zrozumiała. Stało się, prędzej niż sądziła. Weszła.

— Pani życzy trucizny?

— Pani szefowo, błagam, proszę nie dawać, niewinną duszę będzie pani...

— Proszę, panno Zoriko — spokojnie podała pudełko japońskiego środka na pluskwy i pchły.

— Dziękuję, płacę...

— A panu, panie prowizorze, również zalecam użycie „Katolu". Proszę — podała takież drugie pudełko prowizorowi.

Pochylił się nagle, otworzył usta, badawczo spojrzał na trzymaną kurczowo truciznę.

Zamknął usta, poczerwieniał, wyprostował się.

— Pani szefowo, podaję się do dymisji, wyjeżdżam.

Zmieszana studentka szybko wybiegła z apteki. Niesamowity epilog flirtu oszołomił ją. Teraz dopiero odetchnęła. Spojrzała wdal.

Nad lasami leciał gawron.

INA BENITA



Foto Forbert.

Wśród gwiazd, które błyszczą na firmamencie teatralnym naszej stolicy, wyróżniają się dwie szczególnym blaskiem. Jest to blask młodości, urody, wdzięku i talentu, a gwiazdy te mają na imię: Ina i Ewa. Dopiero niedawno pojawiły się one w konstelacji Teatru Malickiej, a już siła ich blasku pozwala na podziwianie ich kras „gołem okiem" — bez teleskopu. Stały się prawdziwą ozdobą gwiazdozbioru Malickiej i „oczkiem w głowie" teatralnych astronomów.

Ina Benita... Wszyscy ją znamy z ekranu. Jej coraz bogatsze kreacje nauczyły nas cenić w niej nietylko piękną kobietę, której nieodparty urok mógłby być jeszcze w większym stopniu wyzyskany przez film polski, ale i artystkę o rozległej skali talentu. To też nic dziwnego, że występy teatralne Iny Benity w komedjach muzycznych stały się dla teatromanów pierwszorzędnym ewenementem i przysporzyły artystce nowych laurów.

Ewa Stojowska... Rasowa aktorka, oryginalna pieśniarka i... piękna kobieta — oto walory drugiej gwiazdy Teatru Malickiej. Świat teatralny stolicy poznał ją niedawno, kilka miesięcy temu, gdy przybyła wprost ze sceny lwowskiej, na której występowała za dyrekcji Horzycy z pełnem powodzeniem. Ale tak, jak Benitę znała Polska z ekranu, tak Ewę Stojowską słuchał przedtem kraj cały na „Wesołej lwowskiej fali" w której brała udział razem ze swym mężem Wiktorem Budzyńskim, twórcą tych oryginalnych słuchowisk radjowych. Dlatego też obecne występy sceniczne artystki nie mogą uchodzić za początek jej artystycznej karjery. Są tylko dalszym etapem w rozwoju jej wspaniałego talentu, zapoczątkowanym tak świetnie w rodzinnym Lwowie — etapem, w którym osiąga się już szczyty. J. L.

EWA STOJOWSKA



fot. H. Zaluska

Blaski i cienie królewskiego słońca





Pałac wersalski z lotu ptaka.

Gdy dziś, w roku 1938 Francja republikańska obchodzi uroczyście 300-lecie urodzin Ludwika XIV, króla Francji i Nawarry, dziwne nawiedzają nas refleksje na temat tego króla, jako postaci historycznej i jego systemu rządzenia. Jesteśmy świadkami rozwoju nowych, dotąd nie notowanych systemów rządzenia w Europie: totalizm niemiecki i rosyjski, faszyzm włoski, parlamentarna, demokratyczna republika we Francji, tradycyjna, demokratyczna monarchja w Anglji, dyktatura wojskowa w narodowej Hiszpanji, dyktatura w Rumunji itd. Wszystkie odcienie od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy, o ile te przedwojenne pojęcia już nie straciły na znaczeniu, są dziś reprezentowane w Europie. Nic też dziwnego, że człowiek, który we Francji jako pierwszy wprowadził nowy ustrój, a raczej nowy układ sił w monarchistycznym ustroju, budzi naszą ciekawość. Był on przecież niejako prekursorem silnych rządów, które w wieku XVIII przeistoczyły się w oświecony absolutyzm, w XIX zaś w państwo policyjne.

Uważamy Ludwika XIV za wielkiego króla: zdanie to jest słuszne i niesłuszne zarazem. Przypomina się powiedzenie słynnej śpiewaczki Catalani, która zapytana o jedną z koleżanek, odrzekła: „Elle est grande dans son genre mais son genre est petit. Ludwik XIV dokonał wielkich rzeczy, przebudował, można powiedzieć, społeczeństwo francuskie ,ale zrobił to w ramach... Wersalu! Umiał uczynić się słońcem i umiał do tego słońca ściągnąć wszystkich Francuzów „de condition", wszystkich wybitniejszych ludzi, którzy uwierzyli w to, iż tylko w Wersalu, w cieniu królewskiego słońca, mogą się czuć szczęśliwi. Nie było to byle co: Francja do niedawna jeszcze miała silne tradycje separatystyczne, feudalne, rodziny siedzące po zamkach nieraz ani myślały uznawać królewskiego autorytetu. Jeszcze nie tak dawno król Henryk IV pisał do pewnego pana francuskiego, który go prosił o pieniądze: „l'argent n'est pas chose commune entre gentilhommes comme vous et moi!" Król Francji stawiał się niejako na poziomie szlachcica francuskiego, jako jego starszy brat.

Przydomek „króla słońce", który przylgnął na zawsze do monarchy, miał następującą historję: w r. 1662 w dniach 5 i 6 czerwca urządzono w Luwrze barwną uroczystość, zwaną naówczas „carrousel". Olbrzymie estrady, sięgające aż do dachów pałacu dawały gościom możność obserwowania barwnego widoku. Gośćmi króla i królowej była też królowa angielska, wdowa po Karolu I, księżna Orleańska i wiele in.

Na wielkim placu zjawiły się czwórki rycerzy, ubranych w niezwykle bogate stroje. Pierwszą grupą, jaka ukazała się oczom zdziwionych widzów, była czwórka Rzymian, na których czele znajdował się sam król, w antycznym pancerzu, hełmie, z którego spływały strusie pióra, a biały jego koń wprost lśnił się od złota. Drugą grupę byli Persowie, prowadzeni przez królewskiego brata, ks. Orleanu, trzecią, Turcy z ks. de Condé, czwartą wkońcu Amerykanie, tj. dzicy mieszkańcy Nowego Świata pod dowództwem ks. d'Enghien. Przed królem herold niósł tarczę, wyobrażającą złoty rydwan, z za którego padały bogato snopy złotego słońca. Nawiązując do tego emblematu i do feerycznego poprostu bogactwa stroju króla pewien młody członek Akademji des Inscriptions, Douvrier, wymodelował medal na cześć króla z napisem „Nec pluribus impar", otaczającym słońce, które oświecało glob ziemski. Tak oto z okazji królewskiego festynu, w którym olśnił obecnych swym bohaterskim wyglądem, strojem i marsową miną — młody król miał wtedy dopiero 24 lat — zasłużył sobie na zawsze na zaszczytny przydomek, który, w miarę lat, zdawał się być naprawdę najlepszem określeniem jego potęgi.

Ale bo też Ludwik XIV był niezrównanym reżyserem: na najwyższą miarę z niezwykłym taktem, smakiem, poczuciem realności umiał „zmontować" swą wspaniałą rezydencję wersalską, że naprawdę nie miała ona i niema zresztą po dziś dzień, choć stoi cicha i opuszczona, równej na całym świecie. Wersal stanowił dla króla jakby mały świat, jakby „kieszonkowe" wydanie całej Francji, niemal całego świata. Tu, otoczony tysiącami dworzan, dysponujący zabawy, uczty, śluby, pogrzeby, przyjęcia ambasadorów, ukazujący się codziennie i o każdej jego porze, oraz w każdej niemal sytuacji ludziom, król był naprawdę tem słońcem, które choć zachodzi, choć udaje się na spoczynek, zawsze jest atrakcją i pożądane przez ludzi. Wspaniałość miejsca była tak wielka, przywiązanie, zresztą nieraz interesowne, do łaski króla tak olbrzymie, że ludzie, zresztą nieraz mądrzy, światli i stosunkowo niezależni w swych poglądach, spędzali całe życie w Wersalu, aby choć raz na rok dostąpić zaszczytu mówienia z królem i znajdowania się z nim w jednym salonie. O ile ta polityka pałacowa wypływała w pierwszym rzędzie z wielkiego mniemania króla o sobie, to z drugiej była jego taktyką, przemyślanym dobrze sposobem ujarzmienia Francji i Francuzów i przyzwyczajenia ich aby, potulni i nie myślący o jakichkolwiek rewoltach, „jedli z królewskiej ręki".

Skoro sobie uprzytomnicy, że dwór wersalski obejmował kilkanaście tysięcy osób, w tem 6000 służby, że nietylko sam pałac wersalski i najbliższe pałacyki królewskie tworzyły całość, ale że tem samem życiem żyły również pałace wielkich panów aż do Sceaux, Bellevue, Isle-Adam, skoro pomyślimy, że wszyscy ci panowie i panie byli gośćmi króla, który ich żywił, dawał im karety itd. i że wśród tego zgiełkliwego, bawiącego się, plotkującego towarzystwa, król musiał dzień w dzień załatwiać sprawy państwowe, nie mając, ściśle biorąc, ani chwili dla siebie, że wszystkie decyzje państwowe, ale też inne, jak udzielenie zezwolenia na ślub nietylko wielkim osobistościom, ale nawet służbie, zależało tylko od króla, to musimy przyznać, iż trzeba było niezwykłej orjentacji, pamięci, punktualności, wyczucia sytuacji, taktu itd., jednem słowem poprostu genjuszu swego rodzaju, aby podołać takiemu zadaniu. Bo król Ludwik XIV nietylko był królem Francji, ale rodzinny wspólny tryb życia, ta ciągła obecność jego w pałacu, ukazywanie się wszystkim poddanym, będącym w jego olbrzymim domu, wytworzyła wobec nich stosunek iście ojcowski. Wnikając w cele tego wystawnego dworu, w jego maszynerję i skutki tej królewskiej polityki, dochodzimy do przekonania, że Ludwik XIV był swego rodzaju twórcą nowego „wersalskiego régime'u", który zresztą przetrwał jedynie do jego prawnuka Ludwika XV. Cała ówczesna Francja przedstawiała olbrzymi gmach, podzielony na piętra wedle hierarchji, a wszystkie te szczeble uznawały króla jako mądrego, choć nieraz surowego i karcącego ojca. Stosunek ten począł się rozluźniać już za Ludwika XV,

a ostatecznie upadł za jego wnuka. W tym rodzinnym też charakterze Ludwik XIV kojarzył małżeństwa, doradzał w sprawach domowych. Takie matrymonjalne negocjacje poparte bywały zazwyczaj królewskim podarkiem: pannie de Biron daje król 100 tys. liwrów, pannie Isarne 24.980 liwrów, pannie de Mirosmenil wyznacza stałą pensję.

Wielka ilość portretów zachowała nam rysy króla-słońce: najsłynniejszy z nich, a przynajmniej najbardziej reprezentacyjny, słynnego Rigaud'a, przedstawia nam monarchę w całej swej aureoli, w płaszczu haftowanym liljami, ręka wsparta na berle, opodal korona królewska. Twarz tego człowieka zdradza wielkie doświadczenie, jeżeli nie mądrość życiową, ale też lekceważenie, jeżeli nie wzgardę, dla całego świata. Nie zawsze jednak występował on tak okazale: na dni zwykle ubierał się znacznie skromniej niż jego dworzanie. Nosił zwykle ubranie ciemno brązowe, z małym, nieznacznym haftem. Biżuterji król nie nosił żadnych, jedynie na klamrze do bucików, i żadnych pierścieni. Natomiast wygląd jego, zachowanie się i sposób mówienia były naprawdę monarsze i imponujące, choć uprzejme i nie przesadne. Ciekawem jest, że człowiek, który tak umiał grać rolę wielkiego króla, który orjentował się w tak niezmiernie skomplikowanej maszynerji swego państwa, nie był bynajmniej wybitną inteligencją, jak np. jego dziadek Henryk IV. Saint Simon, słynny pamiętnikarz tych czasów, uważa jego inteligencję za mniejszą od przeciętnej: jakkolwiek książe zapewne przesadza, to jednak faktem jest, że wykształcenie króla było niezwykle małe. Cechą natomiast charakteru króla był t. zw. „zdrowy rozum", który oddał mu nieraz cenne usługi. Zgodnie z tym prostym, nieskomplikowanym charakterem szły też upodobania króla: ogrody i piękne, srebrzyste karpie, hodowane w sadzawkach w Marly. Pedant w każdym calu, choć nie przesadny, król osobiście sprawdzał, czy ogrody jego utrzymane są w porządku, ścieżki oczyszczone z chwastów, a trawniki nienagannie strzyżone.

Poniżej: Obecny pretendent do francuskiego tronu, ks. de Guise (siedzi) wraz ze swym synem hrabią Paryża i swymi wnukami.



W naszych czasach, kiedy tak bardzo zajmujemy się sprawą rozwoju człowieka z punktu widzenia jego rasy, dziedzicznych uzdolnień itd., niezwykle ciekawem zagadnieniem jest dziedziczenie cech umysłu i ciała w rodzinie Bourbonów. Sprawa ta zaciekawiła ostatnio kilku francuskich i angielskich oraz niemieckich autorów (bar. de Maricourt, doktór M. de Bertrandfosse, v. Forst-Battaglia itd.). Za daleko zaprowadziłyby nas szczegółowe rozważania: powiemy tylko, że podobnie jak stworzone przez Ludwika XV ramy wersalskie rozrastały się coraz bardziej, przy równoczesnem rozluźnieniu węzłów, łączących króla z narodem, tak też i cechy ujemne tego króla potęgowały się w jego potomkach, którzy znów nie posiadali zalet wielkiego przodka. O ile Ludwik XIV naprawdę był tem słońcem, naokoło którego wszystko i wszyscy się kręcili, o tyle ani Ludwik XV, ani tem mniej Ludwik XVI nie mieli już tej monarszej, wodzowskiej energji, tej orjentacji, tej wyższości, wypływającej właśnie z tego królewskiego majestatu, który nie był pustem słowem, ale faktem i dynamiką człowieka. Dopiero Karol X, częściowo Ludwik XVIII przypominali króla-słońce, niemniej jednak nie umieli wywrzeć takiego wpływu na naród co Ludwik XIV, choć trzeba przyznać, że żyli w czasach trudniejszych.

Na marginesie historji Bourbonów, ciekawie odbija epizod zprzed wielkiej wojny, słynnego Naundorffa, domniemanego syna Ludwika XVI — księcia Normandji. W r. 1909 deputowany parlamentu francuskiego de Boissy d'Anglas zgłosił w izbie zapytanie, jak przedstawia się sprawa Naundorffa, gdyż oficjalne stwierdzenie zgonu Ludwika XVII w dniu 8 czerwca 1795 nie zgadza się z uznaniem go, po tej dacie, przez Holandję jako syna zgilotynowanego króla, oraz z faktem, że leży on pochowany w Delft, gdzie umarł 10 sierpnia 1845. Zdania historyków są podzielone i sprawa nie jest wyjaśniona: w tymże czasie (1909) żył w Holandji, a zapewne jeszcze żyje, August Jan de Bourbon i bracia jego Karol i Ludwik oraz syn pierwszego — Henryk Karol Ludwik, którzy zostali uznani przez rząd holenderski za potomków Ludwika XVI. Paryskie „Je sais tout" przyniosło wtedy wywiad z tym domniemanym Bourbonem. Ciekawem jest zestawienie profilów kilku generacyj tej rodziny, a mianowicie: Ludwika XIV, Ludwika XVI, Ludwika XVII i wkońcu Jana de Bourbon. Dziwne podobieństwo tych profilów nie świadczy jeszcze o niczem, ale jest zastanawiające. Dotychczas zagadnienie Naundorffa nie zostało wyświetlone.

Na prawo: Główna część pałacu wersalskiego.



Poniżej: Profile ostatnich królów francuskich i ich domniemanego potomka: od prawej Ludwik XIV, Ludwik XVI i jego syn książę Normandji, oraz Jan de Bourbon.



Innym zupełnie był prawnuk króla Ludwik XV: inteligentny, niezrównoważony, znudzony życiem i użyciem, interesujący się tylko przelotnie daną sprawą, słaby i nie mający tej siły, tej odporności fizycznej i duchowej, jaką posiadał jego przodek. Jeszcze słabszy charakter, choć lepsze i szlachetniejsze serce wykazał Ludwik XVI, ofiara gilotyn Natomiast charakter króla-słońca odbił się częściowo w pedantycznej, spokojnej, zrównoważonej naturze Ludwika XVIII i upartej, dosyć ciasnej i pełne bigoterji psychologji jego brata, hrabiego d'Artois, późniejszego Karola X. Obecni reprezentanci królewskiego domu francuskiego — Jan książę de Guise i syn jego Henryk, hrabia Paryża, są potomkami brata Ludwika XIV. Filipa, księcia d'Orléans, de Valois, de Chartres, de Nemours i de Montpensier, którego prawnuk w osobie Ludwika Filpa I został po obaleniu starszej linji Bourbonów w r. 1830 królem Francuzów. Linja ta dziedzicząc prawa do tronu francuskiego, przez długi jednak czas uchodziła w oczach monarchistów francuskich za uzurpatorów.

Jan Maleszewski.

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"

5 CENNYCH NAGRÓD



Jak spędzam wakacje?



„Nad strumykiem". — Fot. dr. Aleksander Schnitzel. Katowice.



„W skwarne południe". — Fot. Roman Hałatek. Chorzów I.



„Na Świnicy". — F... Józef Holas. Katowice.



Powyżej na prawo: „Ku morzu" — Fot. inż. Witold Chromiński. Kraków.

Konkurs wakacyjny Magazynu ... " — to konkurs na piękne i oryginalne zdjęcie. Niestety tylko ... iczni uczestnicy pamiętają o tem. Dlatego też wśród ogromnej ilości na...syłanych na Konkurs fotografij można było z trudem wybrać narazie sześć, z których jedno pojawiło się na str. 13 w nr. 37 „Asa", pięć zaś zamieszczamy obok. Każdy, podziwiając walory tych zdjęć, zrozumie, dlaczego ...orszając się z przeciętną fotografją, jakich tysiące wlepia się do albumu na pamiątkę szczególnie miłych chwil, nie może liczyć na zdobycie jednej z pięciu, cennych nagród Konkursu wakacyjnego „Asa". Dążenie do wykazania w próbkach swego talentu fotograficznego zmysłu artystycznego czułego na piękno przyrody, jako stafażu naszych wakacyjnych przeżyć, objawiającego się w uchwyceniu harmonji ruchu lub pozy, w oryginalnym spojrzeniu na kształt przedmiotów i w wyzyskaniu wszystkich, dostępnych w danej chwili walorów oświetlenia — oto idea przewodnia, któ... doszukiwać się musimy przy ocenie zdjęć konkursowych. Brak tej idei przekreśla szanse uczestnika konkursu. Pamiętajmy więc o naczelnej zasadzie każdego konkursu fotograficznego: Tylko artystyczne zdjęcie zdobywa nagrody!

W Konkursie wakacyjnym „Asa" pięć najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody, któremi są: Aparat ...né Kodak 8 model 20 i aparat Kodak Regent f. 4.5, ofiarowane przez Firmę „Kodak" Warszawa I, Plac Napoleona 5 — dalej wytworny neseser podróżny ofiarowany przez Firmę Anastazy Froncz, Kraków, ul. Florjańska 17 — oraz dwie nagrody ofiarowane przez Wydawnictwo Magazynu „As": Aparat radjowy „T 4 z", — czterolampowa superheterodyna marki Telefunken i p...yścigowy rower, fabryki Rybowskiego.



Na prawo: „Postój na wodnym szlaku". — Fot. inż. A. Wołejszo. Margonin (Wlkp.).

Iluzjonista-amator

POPISUJE SIĘ SWĄ SZTUKĄ W SALONIE

Czy chcielibyście wykonać kilka zdumiewających sztuczek czarnoksięskich, któremi iluzjoniści wprawiają was w podziw? W takim razie musicie przyswoić sobie tę zasadniczą regułę: wyobraźnia jest znacznie silniejsza, aniżeli rozum. Wątpicie w to? Proszę zapytać pierwszego lepszego iluzjonistę, a potwierdzi wam, że gdyby rozum był silniejszy od wyobraźni, natenczas każdy taki sztukmistrz musiałby spakować manatki i zmienić zawód czarnoksiężnika na inny np. akrobaty, lub stepującego tancerza. Każdy trick, każda iluzja, jaką kiedykolwiek skomponowano, jest oparta na tej prawdzie.

Jakżeż często zdarza się, że widz mówi sobie podczas przedstawienia iluzjonisty: „Ależ to jest niemożliwe!“ A jednak czarnoksiężnik dokonuje niejako na oczach widza tych niemożliwych rzeczy. Jakżeż więc został widz oszukany? Za pośrednictwem wzroku? Nie! Błędem jest mniemanie, jakoby iluzje łudziły wzrok tylko wskutek szybkości ruchów rąk czarnoksiężnika. Kilka małych tricków polega na łudzeniu wzroku, lecz wielkie złudy oparte są wyłącznie na wyobraźni widzów.

Howard Thurston, największy czarodziej swoich czasów, przeprowadzał na oczach widzów eksperyment, który był szczytem jego sztuki. Numer ten nazywał „kobietą w klatce“. Jeszcze przed przedstawieniem mieli widzowie sposobność zaobserwować grubą linę, wyprężoną między najwyższą galerją teatru, a sceną. Na linje tej wciągano wysoko klatkę, w której umieszczał Thurston młodą dziewczynę. Wszyscy mogli widzieć, jak przed właściwym „numerem“ krępowano na scenie ową dziewczynę sznurami i kajdankami i wsadzano do klatki. — Czarnoksiężnik kazał spuścić kilka zasłon, które chroniły klatkę ze skrępowaną dziewczyną przed spojrzeniami widzów. Następnie podciągnięto klatkę wraz z dziewczyną wgórę. Uwięziona i skrępowana lokatorka klatki czyniła rozpaczliwe wysiłki w celu uwolnienia się. Wszyscy widzieli, jak klatka kołysała się i drżała od jej gwałtownych poruszeń. Gdy już klatka była mniejwięcej na połowie wysokości sali teatralnej, dziewczyna była wolna. Z poza zasłony, otaczającej klatkę, wynurzała się ręka, zrzucająca publiczności kartki na pamiątkę. Widownia szalała z zachwytu, oklaskując z zapałem „numer“. W tej chwili Thurston wyjmował rewolwer z kieszeni i strzelał w stronę klatki, unoszącej się w powietrzu. Nagle podnosiły się zasłony, otaczające klatkę, która — była pusta. Aby wykazać publiczności, że istotnie w klatce niema nikogo, klatka rozpadała się na części, zwisające na sznurach i istotnie nikt z klatki nie wypadał. Tylko szczątki więzów dziewczyny kołysały się w powietrzu.

Całe to widowisko polegało na sugestji!

Punktem kulminacyjnym tego „numeru“ jest nie chwila strzału rewolwerowego, podczas której podnosi się zasłona, wykazując, że klatka jest pusta, lecz moment, podczas którego umieszcza się skrępowaną dziewczynę w klatce. Iluzjonista każe swojej pomocnicy znikać za sceną w chwili, w której otaczające klatkę zasłony ukrywają ją przed spojrzeniami widzów. Jej obecność w klatce sugeruje on publiczności! Pomaga mu wyobraźnia widzów!

Gwałtowne kołysanie się w powietrzu klatki osłoniętej zasłonami, ma być dowodem, że dziewczyna znajduje się w środku i pragnie uwolnić się z więzów. Widzowie wierzą w to, bo chcą wierzyć, nie zastanawiając się nad tem, że mały aparat może wprawiać w ruch klatkę. Za obecnością dziewczyny w klatce przemawia ramię, wynurzające się z poza zasłony i zrzucające kartki. Ale i to złudzenie polega na działaniu sprawnej aparatury. Cudotwórczy charakter nadaje temu widowisku wyłącznie wyobraźnia widzów. Gotowi przysiąc, że skrępowana dziewczyna znajdowała się w klatce i zniknęła w cudowny sposób, gdy klatka znajdowała się w powietrzu.



Na lewo: Przygotowujemy monetę, większą chustkę i szklankę z woda...



Na lewo: Moment zamiany monety na krążek ze szkła, który wrzucony do szklanki z wodą staje się niewidoczny.



Na lewo: A tu końcowy efekt tricku: sucha moneta i szklanka z wodą, w której na pozór nic się nie znajduje.



Do papierosa przykleja się kawałek gumowanego papieru.. Zdjęcia: Associated Correspondents — Amsterdam.



Zewnętrzna strona dłoni niewidoczna dla publiczności.



Wewnętrzna strona dłoni, którą pokazujemy widzom.

Istnieje setki wspaniałych tricków, które może wykonać każdy laik. Niestety amatorzy psują każdą sztukę, chociażby najlepszą, podczas gdy iluzjonista umie wywołać efekt nawet najmniejszą sztuczką. Dlaczego? Elastyczne palce? Nie! A więc co? Koniecznem jest, by każdy trick, chociażby wydawał się najniewinniejszy, stanowił sam dla siebie osobny „numer“. Dlatego każda sztuczka wymaga ćwiczenia aż do osiągnięcia doskonałości. Bardzo wielu ludzi czyta opisy, objaśniające sztuki czarnoksięskie, rozumiejąc je tylko połowicznie. W przekonaniu, że opanowali je, chcą zaraz się niemi popisywać przed przyjaciółmi. Nic dziwnego, że taki popis kończy się niemal zawsze fiaskiem.

Czy ktoś z was zaśpiewałby publicznie pieśń, której ostatnich słów i tonów nie znałby na pamięć? Nie! Tak samo ma się rzecz ze sztukami czarnoksięskiemi: jak długo niema pewności, czy sztuka jest całkowicie opanowana, tak długo należy ją ćwiczyć aż do stanu wewnętrznego przekonania, że musi się udać. Inaczej niepodobna liczyć na powodzenie. A teraz kilka przykładów dla tych, którzy pragną posiąść umiejętności dobrych iluzjonistów:

I. PAPIEROSY, WYCZAROWANE Z POWIETRZA.

Jest to jeden z najciekawszych tricków, szczególnie nadający się do zaprodukowania w salonie wobec licznych gości. Żeby ktoś nie wiem jak przyglądał się zbliska naszym ruchom, będzie musiał przyznać, że wszystko wygląda tak, jakbyśmy naprawdę wyczarowywali papierosy z powietrza. Po udanych produkcjach chodzimy w aureoli czarnoksiężnika i niewielu, nawet inteligentnych ludzi znajdzie się, którzyby nie patrzyli na nas z podziwem i respektem.

— O! z tym, to lepiej nie zaczynać — pomyśli zapewne niejeden, zwiedziony pozorami naszej cudotwórczej siły. A tymczasem i tu nie decyduje nic innego, jak tylko zręczne zasugerowanie widzom sytuacji, która w rzeczywistości przedstawia się zgoła inaczej.

Na czem polega trick z papierosami? Zaraz na pierwszem zdjęciu widzimy najważniejszy rekwizyt tej sztuczki — gumowany papier! Z pomocą jego przylepiamy papierosa do wskazującego palca. Widzom pokazujemy dłoń z wyprostowanymi palcami od strony wewnętrznej, po przeciwnej stronie znajduje się właśnie przylepiony papieros. Teraz zginamy szybko palce, wskutek czego papieros nagle się pojawia. Aby zakryć miejsce jego przylepienia do palca wskazującego, zasłaniamy je dużym palcem (jak na fotografji). Złudzenie jest zupełne wówczas, gdy wystudjujemy właściwy kąt zgięcia palca tak, aby w oczach przypatrujących się papieros pojawiał się nagle cały.



Moment, gdy przez szybkie zgięcie palców „wyczarowujemy“ papierosa z „powietrza“.



A tu jest już miejsce nalepienia papierosa na palec wskazujący, zasłonięte przez duży palec.



Iluzjonista-amator, wykonujący trick z papierosami.

Ale na tem nie koniec. Przed nami stoi ktoś z widzów i trzyma przygotowany przez nas cylinder, który obiecaliśmy napełnić papierosami „z powietrza“. Jak to zrobić? Otóż przed produkcją chowamy odpowiednią ilość papierosów pod skórzaną obszywkę wewnątrz cylindra. Po „wyczarowaniu“ pierwszego papierosa, wkładamy rękę z nim głęboko do cylindra. Tam na dnie zostawiamy tego pierwszego papierosa, zręcznie go odlepiając, zaś na jego miejsce szybko przylepiamy następnego, którego wysunęliśmy z pod obszywki cylindra. Manipulacja musi się odbywać tak, aby jej nikt z widzów nie dostrzegł. Potem wyjmujemy szybko rękę z cylindra z rozprostowanymi palcami, wewnętrzną stroną dłoni zwróconą do publiczności. Znowu zginamy palce, wyczarowując drugiego zkolei papierosa, wkładamy go na dno cylindra i tak do skutku, aż nie przeniesiemy w ten skomplikowany nieco sposób wszystkich pozostałych papierosów z pod obszywki kapelusza na jego dno. Na koniec pokazujemy widzom wnętrze cylindra, napełnione papierosami i... przyjmujemy gratulacje zachwyconych naszą sztuką znajomych.

II. MONETA W SZKLANCE.

Do wykonania tej sztuki potrzebne nam są następujące przedmioty: większa moneta, mniejwięcej jej rozmiarów krążek ze szkła szlifowanego, większa chustka z niewidocznym w rogu schowkiem na monetę i wkońcu szklanka napełniona do połowy wodą. Zaczynamy pokaz, zawijając monetę w chustkę i wzywamy kogoś z widzów, aby potrzymał to zawiniątko nad szklanką. Osoba ta rozwija następnie chustkę, a moneta wpada do szklanki. Zdjąwszy chustkę ze szklanki, pokazujemy widzom, że moneta w niej się nie znajduje mimo, iż wszyscy słyszeli jak do niej wpada. Trick polega na szybkiej zamianie pod chustką monety na krążek szklany, który rzeczywiście wpada do szklanki, ale przez zanurzenie w wodzie staje się niewidoczny. Podczas tego moneta spoczywa sobie w schowku w rogu chustki, a następnie zręcznie z niego wyjęta zostaje przez iluzjonistę-amatora pokazana widzom w stanie zupełnie suchym. Podczas wykonywania tricku trzeba oczywiście uważać, aby chustka zupełnie pokrywała krążek szklany. Dobrze jest odpowiednią rozmową zmylić czujność widzów.

Sztuka z monetą, znikającą w szklance, należy do stosunkowo bardzo łatwych tricków. Niemniej jednak wymaga dużej wprawy i dlatego sumienny trening jest i tu wskazany.

Scott.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA ŻYCIA

JUSTYNA CYPRIAN

NOWELA

Zapadał wczesny mrok jesiennego popołudnia. Anna wstępowała ociążale na stare i brudne schody oficyny. Czuła się śmiertelnie znużoną tak, że na pierwszem piętrze musiała chwilę odpocząć.

— To z pewnością z głodu — pomyślała. Istotnie, od spożytej wczoraj wieczorem bułki, nie miała do tej pory nic w ustach.

Jak codzień, szukała i dziś pracy — ale nadaremnie. Nieładna, w wyniszczonem ubraniu, ze smutną twarzą i bolesną linją ust, nie robiła dobrego wrażenia — zresztą wiedziała o tem i zdążyła się już przekonać, że daleko większe zainteresowanie budzi wszędzie jakaś ładna twarz i lekka kokieterja, aniżeli jej doskonałe świadectwo z ostatniej posady, oraz znajomość dwu obcych języków „w słowie i piśmie".

Ciężko dysząc, weszła Anna na znienawidzone trzecie piętro, gdzie niechlujstwo całego domu rzucało się jeszcze bardziej w oczy. W korytarzu, tuż obok drzwi jej mieszkania znajdowała się „ubikacja dla wszystkich" — miejsce nieustannych wędrówek licznych mieszkańców trzeciego piętra. Anna poczuła z obrzydzenia mdłości: Och, jakże nienawidziła tego domu!

Z ciemnej, wąskiej sionki weszła do równie wąskiego i mrocznego pokoiku. Machinalnie przekręciła kontakt i dopiero w tej chwili przypomniała sobie, że jej przecież już przed miesiącem zamknęli światło. Pokój był prawie pusty, tylko pod jedną ścianą kuliło się kilka ohydnych gratów, których nawet tandeciarz nie chciał kupić.

Rozebrawszy się, rzuciła na goły siennik palto i kapelusz. Za oknem snuł się wczesny wieczór, ale tu w pokoju było już całkiem ciemno. Anna zapaliła małą, kopcącą lampkę kuchenną. Potem usiadła na jedynem krześle przy chwiejącym się stole i przechyliwszy wtył głowę, zamknęła oczy.

Przez uchylone górą okno, wpadał do mieszkania październikowy, wilgotny chłód, a z podwórza dobiegały krzyki bawiących się dzieci, głosy kłócących się kobiet i stukot blaszanych kubłów. Za ścianą ćwiczył ktoś nużące jednostajnością gamy na rozklekotanym fortepjanie, myląc się stale w jednem miejscu.

— Jakie to wszystko męczące — pomyślała Anna. Ale właściwie ból głowy przeszedł jej prawie zupełnie i nie czuła już takiej czczości w żołądku. Pozostało tylko uczucie apatji i dziwnego otępienia z jedyną myślą: „Skończyć z sobą jak najprędzej".

— ...no tak — przecież robiła wszystko, aby znaleźć jakąkolwiek pracę... Nawet służyć chciała — ale ludzie odnoszą się nagół nieufnie do inteligenta, który chce pracować fizycznie. Zresztą kwalifikacyj w tym kierunku nie posiadała żadnych, a co najważniejsze, była bardzo wątła, co już całkiem źle usposabiało „panie", prawie zdecydowane skądinąd wziąć Annę na próbę.

Od dłuższego czasu żyła ze sprzedaży własnych mebli, ubrań a nawet bielizny — ale dziś nie posiada już nic, coby się dało spieniężyć — chyba samą siebie. Nie — na to nie potrafi się zdobyć. Lepsze już to, co wybrała — lepsza śmierć... Otworzyła wolno oczy, westchnęła i potarła wąską ręką wypukłe czoło, spojrzawszy mimowoli w kawałek lusterka, opartego o stary garnek: wyjrzały ku niej czarne oczy, z palącą się w nich gorączką — twarz chora i zmęczona. Anna zaśmiała się sucho i nieprzyjemnie:

— Nawet mi urody poskąpiłeś, mój ty Boże... — szepnęła.

Z trudnością wysunęła ze stołu zacinającą się szufladę i wyjęła z niej starannie owiniętą w papier szklaną fiolkę, potem wstała i nalała sobie do szklanki trochę wody.

— Tak, teraz chyba wszystko gotowe — niema na co czekać. Rozejrzała się jeszcze raz po pokoju:

— Prawda, za tydzień wyrzuciliby ją nawet z tego mieszkania. Na moment poczuła coś w rodzaju złośliwej satysfakcji — jutro już jej i tak nie będzie...

Odpadną wreszcie wszelkie kłopoty istnienia i ta codzienna, bezpłodna walka o kawałek chleba... Nigdy nie przypuszczała, że jej tak łatwo przyjdzie umierać. Zresztą niczego jej nie żal — nikogo drogiego nie zostawia... Nawet wspomnień radosnych nie ma — świat nigdy dla niej nie był łaskawy. Anna zastanowiła się:

— Trzebaby może napisać parę słów dla „władz"...

Wydarła z zeszytu kartkę i swem czytelnem, starannem pismem nakreśliła: „Pozbawiam się życia, bo nie mam co jeść" — to wystarczy — więcej ani słowa. A może i to zadużo? Eh...

Otwarła fiolkę, gdy wtem usłyszała energiczne pukanie do drzwi wejściowych. — Drgnęła i odstawiła szklankę. Pukanie powtórzyło się, ale Anna stała dalej bez ruchu: — Nie otworzy... odejdą chyba — niech jej dadzą spokój, bodaj w tej chwili...

Teraz walił ktoś nogami we drzwi. Anna czuła się już jakby „po tamtej stronie", a teraz miała wrażenie, że ją ktoś za włosy ściągał znowu w rzeczywistość, od której tak pragnęła uciec.

Do drzwi dobywano się w dalszym ciągu, a każde uderzenie odczuwała Anna niemal że w mózgu... Poszła otworzyć: pozbędzie się natręta, ktokolwiek nim jest...

Przed nią stał stróż, a za nim jakaś pani, której twarzy nie mogła rozeznać przy mdłem świetle korytarzowej żarówki.

— A cóż się z panią wyrabia?! — dziwił się zadyszany stróż — ma pani kwardy sen... A dy bym umarlaka wskrzesił takiem waleniem!... A mówiłem wielmożnej pani — zwrócił się do przybyłej — że jest w domu... światłom przecie widział z dołu...

Pani podziękowała za „gorliwość" w dobijaniu się, wsuwając mu do ręki pieniądz. Odszedł, kłaniając się uniżenie i mrucząc coś pod nosem.

Tymczasem młoda i wykwintnie ubrana kobieta, weszła bez pytania do sionki i pociągnęła za sobą milczącą Annę do pokoju, ku światłu.

— Aniu! nie poznajesz mnie?! — krzyknęła, obejmując Annę za szyję.

— Aniu, kochana moja! Już od kilku miesięcy jestem w kraju — i dopiero teraz, po wielu szukaniach, odnalazłam cię w tem mieście... jakże się cieszę! Tak mi tęskno było do ciebie... Anna milczała.

— Aniu, dlaczego ty nic nie mówisz? Nie rozumiem cię... ani mnie nie witasz — może mnie nie chcesz widzieć... ale dlaczego?! — pytała młoda kobieta, nieco zmieszana. — Zdaje mi się, że źle wyglądasz...

Anna, jak we śnie, zamrugała powiekami i wreszcie z trudem wykrztusiła:

— To ty Marylo.. Ty, naprawdę...

— Jezus Marja! — krzyknęła Maryla, bo właśnie w tej chwili Anna zatoczyła się nieprzytomnie na ścianę. Ledwo ją przyjaciółka podtrzymała i prawie zaniosła na siennik. Potem rozejrzała się bezradnie dokoła: — Co robić... co robić?

Zobaczywszy szklankę z wodą na stole, pochwyciła ją i poczęła Annę cucić, zwilżywszy jej najpierw czoło. Ku wielkiej radości Maryli zemdlona po krótkiej chwili oprzytomniała, otworzyła oczy i westchnęła kilka razy głęboko.

— Mój Boże — szeptała ze współczuciem Maryla — na jakąż ja chwilę trafiłam...

Pochyliła się nad przyjaciółką:

— Aniu, ty chora jesteś... ja wezwę lekarza...

Anna usiadła z wysiłkiem na posłaniu:

— Nie, nie chcę... nic mi nie jest — to tylko mnie tak zamroczyło... już mi lepiej — powiedziała cicho.

Maryla głaskała jej mokre od wody policzki.

— Widzisz Marylo... ja... — zaczęła Anna, ale głos uwiązł jej w gardle.

Maryla obejrzała się po nędznym pokoiku.

— Nic teraz nie mów, Aniu... Odpocznij sobie... Zaczynam już trochę rozumieć, ale nie martw się — teraz wszystko będzie dobrze — uspokajała ją przyjaciółka— lepiej ci już, prawda?

Podeszła do stołu, chcąc odstawić szklankę i spostrzegłszy nagle fiolkę pełną pastylek weronalu — i kartkę — znieruchomiała:

— Aniu! Czy ty oszalałaś?! — wykrzyknęła wreszcie z oczyma pełnemi łez. — Chciałaś się życia pozbawić?! — Trzęsącemi się rękami chowała szybko truciznę do swojej torebki. — Jak mogłaś... jak mogłaś Aniu coś podobnego?!

Dopiero teraz wybuchła Anna rozpaczliwem łkaniem. Maryla tuliła ją do siebie, gładząc delikatnie jej chude plecy.

Anna uspokajała się powoli — i urywanemi zpoczątku słowami poczęła opowiadać przyjaciółce o swojem życiu i nędzy ostatnich lat. Przyjaciółka słuchała, wstrząśnięta i głęboko wzruszona.

— No, Aniu! — teraz głowa do góry! Wszystko głupstwo... Z łatwością mogę ci pomóc w otrzymaniu posady i to niebylejakiej... Widzisz jaka niegodziwa... umierać chciała teraz, kiedy ją z takim trudem odnalazłam!

Długo jeszcze rozmawiały, wkońcu Maryla zapytała:

— Powiedz mi — dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy z Paryża? Wówczas mieszkałaś jeszcze w Poznaniu, więc musiałaś je otrzymywać...

Anna spojrzała jej w oczy:

— Widzisz... zdawało mi się, że jeżeli odsunę od siebie wszystko i wszystkich, którzy mogliby mi przypominać tę... historję, to zapomnę i przeboleję. I miałam rację. Nie, nie Marylo... teraz mogę o tem mówić zupełnie spokojnie, ale wówczas... było to zbyt świeże i bolesne dla mnie. Wierz mi — tak było napewno lepiej.

Obie milczały przez chwilę.

— A ty... czy jesteś szczęśliwa z *nim*... z twoim mężem?

— Tak — odparła krótko Maryla.

— To dobrze — westchnęła Anna — warta tego byłaś. Zawsze się bałam, kiedy myślałam o tobie i Karolu, że może ci nie dać szczęścia... Cieszę się, że się pomyliłam.

— No, ale teraz przystępujemy do ważniejszych spraw — roześmiała się z przymusem Maryla. — Czekaj, czy masz papier listowy? Zaraz, zaraz... ja mam gdzieś bilecik mój... o widzisz, jest! Napiszę teraz parę słów... wystarczą, aby jeden z najbogatszych tutaj ludzi, dał ci w swojem biurze dobrze płatną posadę. Ty znasz przecież języki... Jest to Adam Werner, dyrektor międzynarodowego towarzystwa transportowego. Kocha się we mnie... — mrugnęła filuternie okiem ku Annie.

— ...tak, z tym bilecikiem pójdziesz zaraz jutro koło 12-tej do niego... adres notuję ci tu na boku. Przedstawisz mu się pięknie i zobaczymy co ci powie. Mogę cię zgóry zapewnić, że dla mnie zrobi wszystko! Po-

(Ciąg dalszy na str. 23-ej).



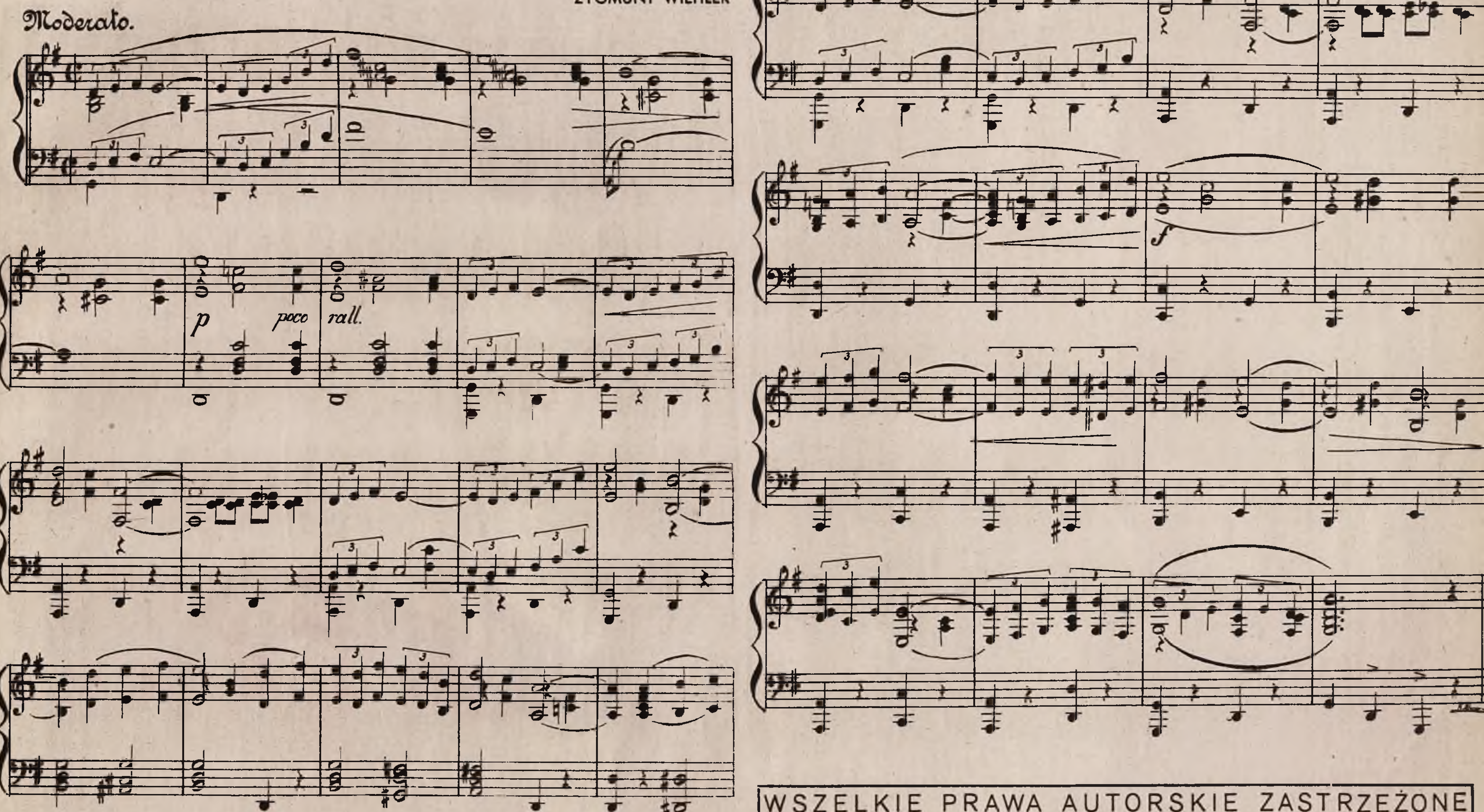
PRZYPŁYW

FOT. ANDRÉ DIÈNES — PARYŻ

„NA GRUZACH HISZPANJI"

FRAGMENT ILUSTRACJI DO OBRAZU
BALETOWEGO FELIKSA PARNELLA

ZYGMUNT WIEHLER



(Ciąg dalszy ze str. 20-ej).

tem przyjdziesz do mnie, bo będę ciekawa, jak załatwiłaś tę sprawę, a następnie zostaniesz u mnie na obiedzie. Nie, nie obawiaj się... Karola jutro nie będzie w domu, rzadko nam się zdarza razem obiadować — dodała z lekkim odcieniem goryczy. — A teraz jeszcze napiszę ci mój dokładny adres. Ale go nie zgub!

Podczas gdy Maryla pisała, Anna przypatrywała się jej uważnie. Mało co zmieniła się w ciągu tych kilku lat. Ta sama śliczna twarz, która wówczas urzekła Karola i ten sam wdzięk nieodparty w ruchach i całej postaci. Tylko... te kąciki ust wygięte smutnie ku dołowi, tego dawniej u stale pogodnej i roześmianej Maryli nigdy nie widziała... No tak, jak się żyje z Karolem, wówczas ma się zawsze dosyć powodów do zgryzot — pomyślała przelotnie.

— Więc Aneczko — załatw jutro wszystko tak, jak ci powiedziałam. Teraz muszę się już z tobą pożegnać, bo chciałabym dziś być wcześniej w domu. Pozatem ty musisz dobrze wypocząć i wyspać się na jutro. Będziemy się widywały codziennie! Zobaczysz, że nam dobrze będzie razem; widzisz, ja jestem trochę osamotniona, bo Karol bardzo jest zajęty swoją nową fabryką — dokończyła z pewnem zakłopotaniem.

— Marylo... nie wiem, jak ci mam dziękować...

Ucałowały się serdecznie na pożegnanie, a Maryla wcisnęła Annie w rękę spory zwitek banknotów, szepnąwszy wstydliwie:

— To na pierwsze twoje wydatki... Oddasz mi potrochu, jak już będziesz miała posadę.

Oszołomiona i wzruszona Anna odprowadziła przyjaciółkę aż na schody. Powróciwszy do mieszkania, przeliczyła pieniądze: było aż 370 złotych — widocznie wszystko, co Maryla miała przy sobie.

— Niech ci za to... Bóg da wszystko co najlepsze — powiedziała cicho Anna, cała przejęta szczęściem i wdzięcznością.

Od jutra więc zacznie się dla niej nowe życie... Jakże trudno w to uwierzyć... Może to tylko sen? — Ale nie — na stole leży zwitek banknotów, a w pokoju pozostał jeszcze subtelny zapach perfum Maryli.

— — — — — — — —

Do głębi wstrząśnięta, wracała pani Maryla do domu. Była tak zatopiona w myślach, że dopiero ocknęła się, gdy ktoś, przechodzący obok niej, wykrzyknął głośno:

— Przecież to już dziewiąta!.. Przyspieszyła kroku: dziewiąta, a ona chciała być dziś wcześnie w domu. Wsiadła na najbliższym rogu do taksówki i kazała się wieźć w nową dzielnicę willową.

Przed ich domem stało auto Karola. Serce jej się ścisnęło: — Znowu gdzieś wydaje na noc.

Pokojówka otworzyła jej drzwi.

— Pan w domu?

— Tak jest, proszę pani, ubiera się.

Pokojówka pomogła jej zdjąć płaszcz i Anna weszła do swojego buduaru. Przeszła przez dzielący ją od sypialni męża gabinet i zatrzymała się pod drzwiami. Do uszu jej dobiegła melodja najnowszego tanga, nucona ładnym barytonem. Pani Maryla stała dosyć długo z ręką zaciśniętą na klamce, zanim zdecydowała się wejść. Jak oddawna już, tak i teraz starała się stłumić w stosunku do męża wszelkie uczucie przykrości.

— Dobry wieczór Karolu, wybierasz się gdzieś?

— Witam się moja kochana! — Podszedł do żony i pocałował ją w policzek i w rękę, ale dość chłodno i konwencjonalnie.

— Wybieram się właśnie na komers koleżeński. Muszę nawet pójść, bo będą na nim ludzie, na których mi zależy — mówił Karol, kończąc starannie toaletę przed lustrem.

Ani trochę nie wierzyła w ów „komers". Obrzuciła go spojrzeniem: elegancki jak zawsze, wysmukły, w doskonale skrojonym smokingu, prezentował się znakomicie, pomimo swoich czterdziestu paru lat.

— Odnalazłam wreszcie Annę — zaczęła — właśnie wracam od niej...

— Tak!? — zdziwił się, ale nie bardzo. — No i cóż? jakże się jej powodzi, co porabia? — pytał, patrząc w lustro i badając skrupulatnie ręką matowość swoich świeżo ogolonych policzków.

— Ma się dobrze — odpowiedziała Maryla. Nie, nie powie mu nic więcej, bo i poco? Zresztą ani chwila nie była odpowiednia do tego, a pozatem widocznie Anna obecnie nic a nic go nie obchodzi. Oprócz przykrości opanowywał ją gniew, ale milczała.

— Spodziewam się, że ją kiedyś zaprosisz do nas — mówił mąż dalej, skrapiając się wodą kolońską — czy zawsze taka interesująca jak dawniej... co?

Był roztargniony i spieszył się bardzo. Pani Maryla przymknęła oczy.

— Czy znowu wrócisz dopiero nad ranem? — zapytała po chwili, zwilżając końcem języka suche wargi. To „znowu" niepotrzebnie się jej wymknęło i w dodatku podkreśliła to słowo zanadto wyraźnie intonacją głosu.

Odwrócił się ku niej od lustra.

— Nudzisz się może? Bardzo mi przykro, że dziś wieczór nie mogę ci dotrzymać towarzystwa, ale jak widzisz jestem zajęty, chyba rozumiesz....

— Ciągle zajęty! Ale tylko dla mnie nie masz nigdy czasu... jestem sama, ciągle sama! — wybuchnęła nagle Maryla z długo tłumioną goryczą. — Często nawet nie wiem, gdzie noce spędzasz! — Chciała mu więcej jeszcze powiedzieć: że za długo milczała, że domyśla się jego zdrad, tak starannie przed nią ukrywanych. Karol przerwał jej lodowatym tonem:

— Wymówki? Pamiętasz, że przyrzekliśmy ich sobie nigdy nie robić...

Zbliżyła się do niego z pałającymi oczyma:

— A gdybym ja tak, jak ty... zaczęła żyć na własną rękę, nie dbając o to, że jestem twoją żoną — a mam dosyć sposobności — cóżbyś ty na to powiedział?!

Był zaskoczony i zmieszany tem bezpośredniem zapytaniem, a przedewszystkiem zdziwiony. Takiej Maryli nie znał jeszcze. Czuł jednak, że musi być wobec niej konsekwentny: — Nie krępuję cię — powiedział wreszcie — przypuszczam, że cokolwiek postanowisz, będzie się to odbywało tak dyskretnie, aby świat nie uważał mnie za głupca, tego nie zniósłbym! Zresztą będę zawsze polegał na twoim takcie. — Był zły. Takiego wystąpienia żony nigdy się nie spodziewał. Nie lubił sprzeczek.

— Muszę cię już pożegnać — ukłonił się chłodno i zdaleka. — Mam nadzieję, że jutro będziesz w innym humorze... przypuszczam, że chyba nie Anna wpłynęła tak... niemiło na ciebie. — Wyszedł, zamykając dość głośno drzwi.

Marylę dławiły łzy i rozpacz. Czyż nie lepiej było znosić w milczeniu wszystko, jak dotychczas i łudzić się przynajmniej, że Karol zmieni się wkońcu... Poco mu to powiedziała? Teraz widzi, że mu na niej wcale nie zależy... Jest mu poprostu niepotrzebna. Tego obawiała się już od paru lat... Niepotrzebna! Tłumiąc ból, przeszła do swojego pokoju i przekręciła klucz w zamku. Jakiż on mały, jakiż podły! Dlaczego nie może go znienawidzieć?! Boże, Boże... — szeptała, połykając dławiące ją łzy.... Kocha go! Kocha mimo wszystko! Ogarnęło ją poczucie takiej beznadziejnej rozpaczy, że poczęła nerwowo biegać po pokoju, aż wreszcie z głośnym szlochem rzuciła się na łóżko, wtulając głowę w poduszki.

— — — — — — — —

Anna nie spała tej nocy zupełnie. Myślała o Maryli i Karolu, o swojem niespodziewanem szczęściu, snuła plany na przyszłość, to znowu przeżywała tysiące obaw, że może mimo starań i stosunków Maryli posady nie dostanie. Wreszcie zaczęła sobie w myśli układać, jakie najkonieczniejsze sprawunki załatwi jutro z otrzymanych pieniędzy. Wkońcu zdenerwowana, że godziny nocne tak wolno upływają, wstała już koło piątej, uporządkowała mieszkanie, odświeżyła wodą i szczotką swoje stare palto, a potem zaczęła się myć i ubierać.

O pół do ósmej była już gotowa do wyjścia. W kilku sklepikach zapłaciła swoje długi, kupiła trochę prowiantów i po śniadaniu wybrała się na miasto, aby uzupełnić swoją garderobę. Pełna radości, jakiej już dawno nie odczuwała, chodziła po sklepach i magazynach, wybierała i mierzyła.

Zgrabny filcowy kapelusik, kremowa bluzka, rękawiczki, trzewiki i jeszcze kilka drobiazgów zmieniły odrazu jej wygląd. Nakoniec, gdy fryzjer zaondulował ładnie jej gęste, czarne włosy, Anna stwierdziła w lustrze, że wyglądała niemal ładnie: czarne jej oczy błyszczały, a na śniadej twarzy wykwitły rumieńce podniecenia.

Tak odświeżona, pojechała tramwajem do centrum miasta, gdzie w 8-piętrowym gmachu mieściły się biura Międzynarodowego Tow. Transportowego. Po szerokich marmurowych schodach, wyścielonych grubym dywanem weszła na pierwsze piętro do sekretarjatu. Przyjęła ją szczupła urzędniczka z utlenionemi „na platynowo" włosami i niezbyt uprzejmym tonem zapytała, czego sobie życzy.

Anna powiedziała, że pragnie mówić z dyrektorem Adamem Wernerem... tylko z nim. W jakiej sprawie? — Wyłącznie osobistej...

Urzędniczka obejrzała Annę od stóp do głów. Wreszcie wycedziła:

— Pan dyrektor dziś nikogo nie przyjmuje.

Ale Anna była nieustępliwa: odzyskała całą swoją dawną energję: — Proszę powiedzieć tylko panu dyrektorowi, że przyszłam z polecenia pani Krasnockiej... z jej bilecikiem.

Rzeczywiście, już samo to nazwisko podziałało. Musieli widocznie znać tutaj Marylę. Urzędniczka stała się odrazu grzeczniejsza, poleciła jej zaczekać, wskazawszy przedtem krzesło, a sama wyszła. Za kilka minut wróciła i obrzucając Annę ciekawem spojrzeniem, poprowadziła ją przez długi korytarz przed drzwi, błyszczące nieposzlakowaną białością lakieru, na których widniała tabliczka: „Dyrekcja. Bez zameldowania się w sekretarjacie wstęp wzbroniony". A więc to już tu... Annie biło serce w przyspieszonem tempie, a w skroniach pulsowała krew. Urzędniczka wprowadziła ją do gabinetu dyrektora i poszła sobie.

Na tle bibljotecznej szafy, przy biurku stał wysoki, lekko szpakowaty mężczyzna. Podszedł zaraz do Anny, przywitał ją dziwnie nerwowo i prosił, by usiadła. Anna, przedstawiwszy się, podała mu bilecik Maryli. Była trochę skonsternowana tem przyjęciem, ale przypatrywała mu się spokojnie:

— ...kocha się w Maryli... przypomniała sobie z nagłym odruchem sympatji w stosunku do niego. Spostrzegła, że ręka, w której trzymał bilet drżała mu wyraźnie. Czytał długo, aż wreszcie usiadłszy ciężko na krześle, zwrócił dziwnie pobladłą twarz ku Annie i zapytał stłumionym głosem:

— Pani jest bliską przyjaciółką pani Krasnockiej?... kiedy się panie ostatni raz widziały?

Anna zdziwiła się:

— Wczoraj wieczorem.

— Ale.... proszę mi jeszcze powiedzieć, kiedy wyszła od pani p. Krasnocka?

— Zdaje mi się, że na kilka minut przed dziewiątą — odpowiedziała Anna, coraz bardziej zaniepokojona niezrozumiałem zachowaniem się dyrektora. Zapytała:

Dokończenie na str. 31-ej.



VANITY FAIR RIWIERY





Snobistyczny charakter Riwjery i jej światowa opinja istnego „vanity fair“ eleganckiego świata nie ucierpiały wiele na powojennej demokratyzacji. Zmieniły tylko charakter, ograniczając swe „tereny“. Przed wojną cały Jasny Brzeg należał do tych wybranych dziesięciu tysięcy, którzy posiadali dostatecznie wysokie konto bankowe i dostatecznie arystokratyczne „urodzenie“, aby obnosić swą wielkopańską nudę po słonecznej Promenade des Anglais w Nicei lub po salach kasyna w Monte. Nie było wtedy na Riwjerze tłoku ani gwaru, a wytworne ekwipaże na gumach wymijały się swobodnie na nadmorskich bulwarach, znaczonych smukłemi kolumnami palm.

Dziś jest nieco inaczej: Jasny Brzeg rozbudował się i zamienił w jedną nieprzerwaną arterję, tętniącą ruchem i gwarem, zupełnie wielkomiejskim. Eleganckie hotele i zaciszne wille kryjące się po palmowych ogrodach, wypełnił tłum znacznie mniej ekskluzywny, mieszany, pstry i gwarny... Dziś każdy ośmiela się tu przyjeżdżać: właściciel stukonnej Hispano-Suizy ociera się na lśniących asfaltach





Zabudowania „Palm Beach“ w Cannes. Fot. E. Mieroszewska.

Na wspaniałym tarasie „Palm Beach“. Fot. E. Mieroszewska.

Grande Corniche o brzęczącego jak stare pudełko sardynek Forda z przed lat conajmniej dwunastu — zawrotne kreacje od Wortha czy Paquin'a sąsiadują zgodnie z perkalowemi shortami, uszytemi gdzieś na poddaszu paryskiego przedmieścia. Zblazowany rentjer rzuca swe „tysiączki“ na stół ruletki równie śmiało, jak skromny episjer swe pięciofrankowe sztoniki. — Dla wszystkich jest tu miejsce, dla każdego kwitną liljowe glicynje i słonecznemi skrami płonie błękitne morze.

Ale myliłby się ten, ktoby wyciągnął z tego daleko idące wnioski. Wytworny, rafinowany, dyskretny świat owych „dziesięciu tysięcy“ żyje tu nadal, jeszcze bardziej niedostępny i ekskluzywny, niż dawniej. Trudno go spotkać na ruchliwszych autostradach, niełatwo go znaleźć na ludnych tarasach, tłocznych plażach, czy dusznych salach popularnych dancingów.

Wycofał się zdala od zgiełku i ruchu na ustronne przylądki i skaliste cyple Cap Ferrat czy Cap d'Antibes, kryjąc się po luksusowych hotelach, a przedewszystkiem po prywatnych willach i pałacykach. Jedynym kluczem do tego zamkniętego światka są dziś pieniądze, przed któremi otwierają się zarówno bramy modnych pałace'ów, jak najbardziej ekskluzywnych klubów czy lokali rozrywkowych. Udzielna księżna obok gwiazdy filmowej, jedynaczka króla konserw czy maszyn do szycia obok rzymskiej patrycjuszki, wschodnia piękność obok jasnowłosej milady tańczą zgodnie modnego „lambeth-walk'a“ na lśniącym parkiecie Sportingu w Monte-Carlo, czy Palmbeach w Cannes. Kwestje rasy, urodzenia, zawodu nie istnieją: cenzus pieniądza stał się jedynym dyktatorem!

Wystarczyło postarać się o zaproszenie i wykupić wstęp za 500 fr., aby zetknąć się z tym strojnym i rozbawionym „światkiem“ w salach Palm Beach w Cannes, na słynnym balu „Des Petits Lits Blancs“, który od trzech lat stał się dorocznem świętem eleganckiej Riwiery. Ten paryski bal dobroczynny o ustalonej tradycji i renomie przeniósł się bowiem od trzech lat na Jasny Brzeg, gromadząc wszystkie sławy towarzyskie Riwiery.



Oto barwny obraz życia na przystani w Juan les Pins.

Świetność jego w tym roku przewyższyła wszystko, co się dotąd widziało. Atrakcyj nie brakło. Licznie na Croisette zgromadzone tłumy mogły podziwiać zajeżdżające luksusowe Rolls-Royce'y i Packardy i wysiadających z nich gości. Kulminacyjny punkt osiągnęło zainteresowanie widzów, gdy pojawili się księstwo Windsor: księżna, wysmukła i jak zawsze interesująca w tualecie z lamy „Wallis-blue“ i przepysznej kolji z rubinów — książę opięty w ciemno-niebieski „spencer“ najmodniejszy dziś ,letni frak bez pół. W chwilę później pojawiła się Marlena Dietrich, jasnowłosa i promieniejąca urodą w biało-srebrnej tualecie i śnieżnym „cape'ie“ z puchu łabędziego. Trudnoby określić, kto wyszedł zwycięsko z tej rywalizacji: księżna, czy gwiazda?

Bal odbywał się we wszystkich salach i na wielkim tarasie Palm-Beach, zamienionym w olbrzymi namiot z łososiowego atłasu w złote kwiaty. Do obiadu, podawanego przez 150-u kelnerów, zasiadło 1.730 osób. Białe i kolorowe fraki mężczyzn, barwne tualety kobiet, poły-

skujące wspaniałą biżuterją, srebro i kryształy nakrycia — wszystko to mieniło się tęczą świateł i kolorów.

Prawdziwą ozdobą balu stał się „oddział" młodych, smukłych i strojnych modelek, które prezentowały wieczorowe kreacje największych domów mody paryskiej, a przedewszystkiem bezcenną biżuterję, wystawioną przez znaną jubilerską firmę Van Cleef i Arpels.

Łącznie z fantastycznemi klejnotami, które zdobiły wschodnie stroje Agi Khana, maharadży Kapurtali i księcia egipskiego Ibrahima, budząc pełne zawiści westchnienia kobiet, na salach Palm-Beach znalazły się tej nocy krociowe fortuny, zaklęte w migotliwych cackach. Słuszną też była uwaga ks. Poniatowskiego — jednego z nielicznych zresztą przedstawicieli polskiej arystokracji na balu — że „gdybyśmy byli w Chicago, jużby grały naokoło Palm-Beach karabiny maszynowe gangsterów!"

Tualet nie sposób opisywać. Było ich tyle, a każda piękniejsza od drugiej! Nosiły je z wdziękiem przedstawicielki europejskiej elity towarzyskiej, artystycznej i finansowej, począwszy od W. Ks. rosyjskiej Marji, sławnej lotniczki francuskiej Maryse Bastié, marszałkowej Petain, wytwornej markizy Imperiali, uroczej Begum, małżonki Agi Khana, ministrowej Bonnet i wielu, wielu innych.



...wieczorem suknia balowa i klejnoty.
Rys. Ewa Leo.

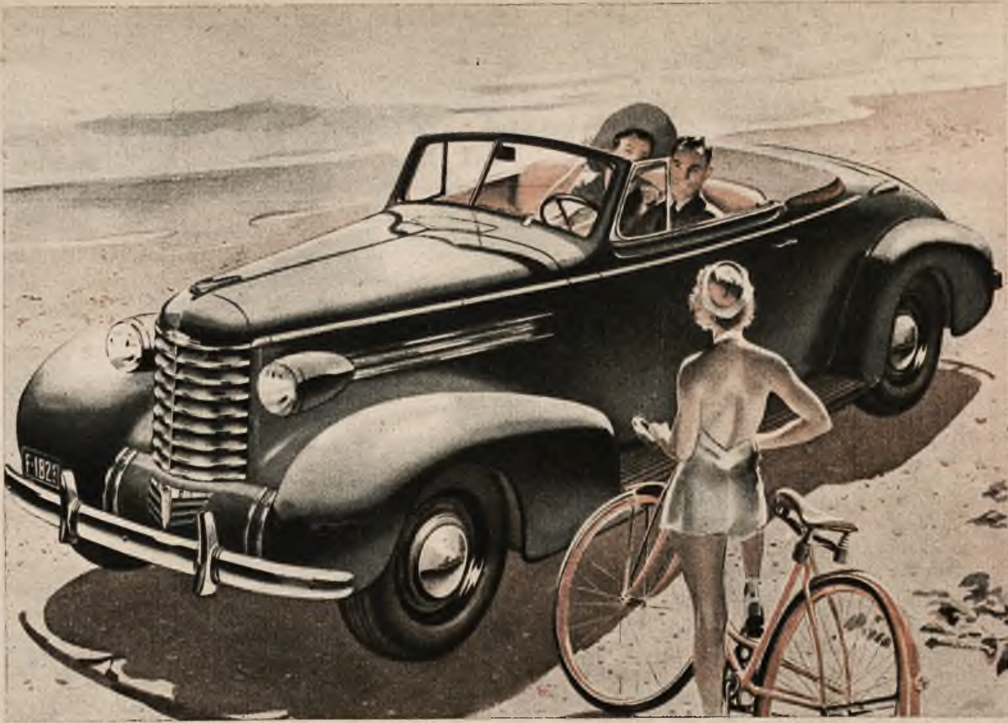
O 10-ej rozpoczął się spektakl. Najlepsze siły artystyczne Paryża walczyły o lepsze w bawieniu wyborowej widowni: wielki balet Opery Paryskiej z Lifarem, Gaby Morlay, Fernandel, Harry Pilcer itd. Prawdziwą feerją były ognie sztuczne, puszczane ze skały na morzu, opadając snopami iskier i barwnemi bukietami gwiazd i kwiatów ognistych na granat nieba aksamitnej, pachnącej nocy południowej...

Ktoś z arystokracji francuskiej zachwycał się widokiem z właściwym swej rasie temperamentem: „Zachwycające! Wspaniałe!"

— Bardzo milutkie — odparł z uśmiechem ks. Windsor. Zapewne... Widział już niejedno...

Bal „białych łóżeczek" nie był jedynym przebojem sierpniowego sezonu Jasnego Brzegu. Poprzedziło go i nastąpiło po nim cały szereg zabaw, przyjęć, „cocktail-party" i „Beach-party", z których każde dawało jakąś nową atrakcję. Największą sensacją sezonu miało być przyjęcie, wydane w restauracji „Victor" przez Nababa Palanpuru, na którem według informacyj „wtajemniczonych" wschodni bogacz zapowiedział rozdanie swym gościom upominków w postaci drobnych, ale prawdziwych brylantów. Drogich kamieni wprawdzie nie rozdawano, ale Nabab ugościł swych przyjaciół z iście wschodnim przepychem, czarując ich swą gościnnością i werwą. Po obiedzie wyświetlano amatorskie filmy (jedna z pasji maharadży!), na których zaproszeni mogli podziwiać swego amfitrjona na tle przepychu jego indyjskiej rezydencji, odbierającego hołdy poddanych na złotym tronie, to znów polującego na tygrysy na grzbiecie białego słonia. Swobodnego nastroju zabawy nie zmąciła znaczna ilość agentów policyjnych, roztaczających nad maharadżą dyskretną, ale troskliwą pieczę, w następstwie licznych listów z pogróżkami i usiłowaniami wymuszenia, jakie otrzymał, gdy tylko zjawił się na Jasnym Brzegu.

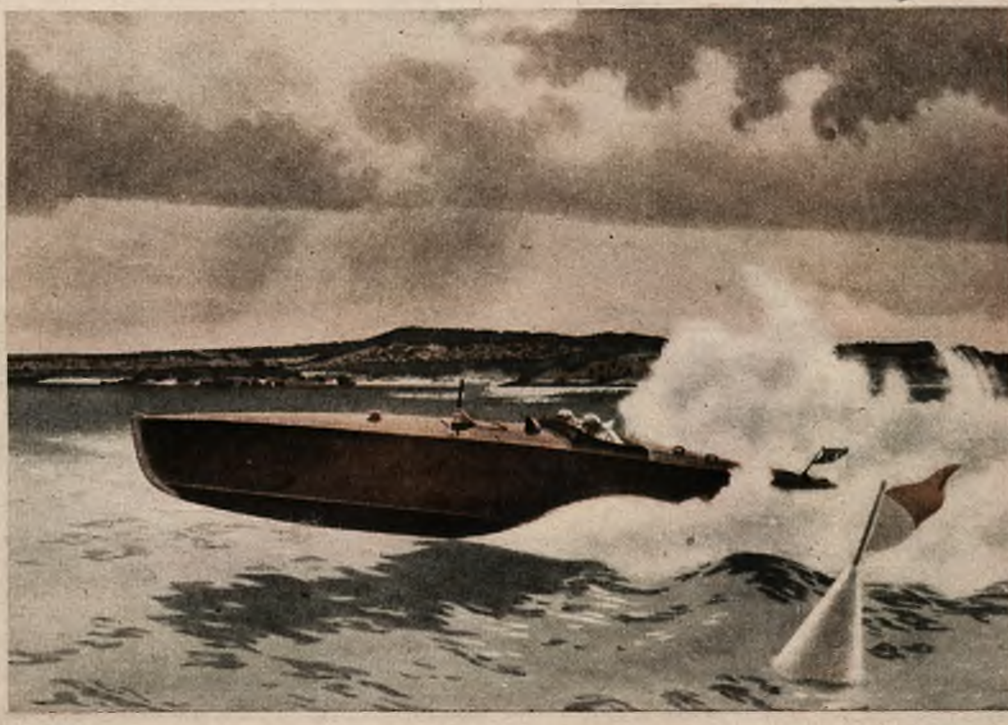
Dokończenie na str. 31-ej.



Powyżej: Spotkanie na plaży.



Na prawo: ...w dzień shorty lub kostjum kąpielowy. Rys. Ewa Leo.



Poniżej: Szalona jazda po lazurowej toni.

Panienki!

UCZCIE SIĘ OBOWIĄZKÓW PANI DOMU



Pokażemy wam tu przykłady z codziennego życia, wykazujące, jaką przyjemność stanowi t. zw. „życie towarzyskie". Jakkolwiek przybiera ono coraz to inne formy, organizacja jego jest przywilejem pani domu.

Organizując życie towarzyskie musimy zainteresować się sprawami kulinarnemi, zazębiającemi się silnie z całą techniką tej dziedziny.

— Jedziemy na automobilowy week-end. Któż dba o zawartość kuferka z spiżarnią, z taką radością rozpakowywanego na postoju, w cieniu leśnych drzew, kiedy świeże powietrze podziała na apetyty i pragnienie?

— Idziemy na wycieczkę w sympatycznem towarzystwie na kilka dni czy dłużej. Wszakże modny jest dzisiaj sport pieszy, który otrzymał nawet ponętną nazwę, przypominającą jakiś taniec zagraniczny: Footing. Któż napełnia plecaki żywnością, tak przezornie zestawioną, aby ją można było uzupełniać w drodze niewielkimi już tylko dodatkami, możliwymi w danej okolicy do zakupienia.

— Urządzamy wieczór dla młodych ludzi w mniej czy więcej zamożnym domu. Czy panienka z liceum lub słuchaczka uniwersytetu, umie zaaranżować wszystko sama, choćby z pomocą służby, gdy dajmy na to, pani domu wyjechała na kurację? Czy młoda adeptka na gosposię zestawi odpowiednie przekąski i chłodzące napoje?

— Czeka młodą parę małżeńską wycieczka na kajaku. Jakiż byłby to wstyd, gdyby młoda pani nie umiała sobie poradzić z aprowizacją! Czy będzie czekać na rady męża, który w nawale pracy przed urlopem, ledwo ma czas wpaść do domu na posiłki i przerzucenie dzienników?

— Młode małżeństwo i „świeżo upieczeni" teściowie, pocieszają się nieraz, nadrabiając miną, że dłuższa praktyka dopomoże młodej pani w nabyciu wiadomości, dotąd obcych jej ulokowanej starannie główce.

— Jakie potrawy można właściwie podawać w czasie upałów? — pyta młoda mężatka swej przyjaciółki. Mój mąż zaledwie spróbuje tego i owego, ale właściwie prawie nic nie jada podczas kanikuły...

— Żeby to choć czasami zjawiła się na naszym stole jedna z tych potraw, jakie nam tak smakują w restauracji! — marzą nieraz w swojem kółku panowie, posiadający eleganckie żony i zasobne domy.

Kucharka, nawet dobrze znająca swój zawód, nie sprosta tak różnorodnym zadaniom. Tu trzeba czegoś więcej. A o tem wiedzieć powinny młode panienki na równi z wieloma tajnikami życia, które poznają z biegiem lat.

Nie wystarczy dobra prezencja, ładnie zaondulowana główka, manicure i pedicure bez zarzutu...

Ważną jest znajomość form towarzyskich, umiejętność znalezienia się w każdej sytuacji życiowej, szybkie przystosowanie się do wyższych wymagań, jakie stawia nieraz przed nami życie. A równie ważnem jest opanowanie techniki prowadzenia domu, który stać musi na pewnym poziomie, uzależnionym stanowiskiem męża, czy samotnej kobiety z towarzystwa. Nie będzie to miłem, kiedy młoda pani domu, zajęta swemi przedewszystkiem sprawami, zdawać się będzie na służbę, lub szukać pomocy i rady często u obcych, gdy los postawi ją w innem niżeli wzrosła środowisku.

To wszystko nie wymaga zresztą ani zbyt wiele trudu, ani uczęszczania do specjalnych szkół, jakkolwiek dobrze jest ze strony fachowej zapoznać się z „chemją" kuchni i coraz potrzebniejszą w codziennem życiu, djetetyką. Wystarczy wśród innych zainteresowań przejawić chęć zapoznania się z techniką prowadzenia domu pod okiem własnej matki, co niewiadomo dlaczego stało się niemodne.

Ulegamy we wszystkiem modzie i trzeba powiedzieć, że jest to objaw zupełnie zrozumiały i korzystny; nie wolno nikomu stać w miejscu, a więc postępujmy naprzód w dziedzinie przystosowywania wyglądu zewnętrznego domu do ogólnie przyjętych wymagań. Ale stwórzmy czasami jakąś pożyteczną modę wśród nas samych, w środowisku, w którem żyjemy. Niechaj panna Krysia czy Dziunia, rozszerzy krąg swoich zainteresowań na sprawy także czysto domowe, niech tworzy wśród swych rówieśniczek modę, wyścigi, niejako konkurs, na terenie tak zaniedbanym wśród naszych uczących się panienek, jakim jest właśnie gospodarstwo domowe. Z doświadczeń każdej matki czerpać można zasoby wiadomości na długie lata. Posiadając je, nie odczujemy ani balastu, ani przeciążenia, ani nie doświadczymy trudów zdobywania arkanów życia, jakże potrzebnych na każdym kroku.

Zdobywając wiedzę, kształcąc wrodzone zdolności artystyczne, sportowe czy jakiekolwiek inne, bo wszystko jest dostępne dla kobiety — uczcie się, panienki, także poznawać obowiązki pań domu, aby nie spłonęły wam kiedyś policzki wstydem wobec osób, którym będziecie chciały zaimponować we własnym domu.

Ajaks.



XIX.

Kształt palców

Małe defekty piękności dadzą się często usunąć łatwymi, ale wytrwale stosowanymi środkami. To też i wady palców można korygować, jeżeli tylko nie spowodowały ich jakieś zmiany chorobowe. Tak więc, kiedy młoda osóbka, praktykująca w „cielęcych" swych latach, brzydki zwyczaj obgryzania paznokci, spostrzeże się poniewczasie, że zaszkodziła sobie na całe życie, niechaj nie rozpacza, ale z silnem postanowieniem weźmie się do zabiegów pielęgnacyjnych. Kąpiele końców palców w letniej oliwie i masaż palców, działają cuda przy dłuższem stosowaniu. Także i mniejsze jakieś wykrzywienia palców można skorygować przez codzienne kilkakrotne wginanie ich w właściwym kierunku.

Masaż palców wykonujemy, obejmując każdy palec z osobna wszystkimi palcami drugiej ręki i przesuwając je z naciskiem, od paznokci do nasady. Dziesięciokrotne powtórzenie tego ruchu na każdym palcu nie zajmie wiele czasu, zwłaszcza, że wystarczy masaż palców wykonywać trzy razy na tydzień. Typ masażu można zmieniać, gdy równocześnie obracać będziemy dłonią, której palce masujemy. Można też masować palce, obejmując je wszystkimi palcami i dłonią drugiej ręki, a wtedy owija się palec dłonią i przesuwa ruchem ślimacznicy.

Także i paznokcie poddajemy baczniejszej pielęgnacji, która polega na kąpieli w letniej oliwie, jakoteż na pozostawianiu ich co kilka dni bez lakierowania na noc lub na pół dnia.

Kształt paznokci decyduje nakoniec o kształcie całej ręki, to też nie zapominajmy o ich należytem spiłowywaniu i to na owal, łagodniejszy lub ostrzejszy, zależnie od długości paznokci i od kształtu ręki, która niezawsze pozwala na wybitnie długie paznokcie, odpowiednie tylko dla szczupłych i długich dłoni i palców. Jako zasadę przyjąć należy, iż zakończenie paznokci powinno odpowiadać łukowi „migdałka" u nasady paznokcia. Jednak i ten „migdałek" może być bardziej lub mniej artystycznie wykończony. Poświęciwszy mu nieco uwagi, dojdziemy łatwo do wyczucia tych proporcyj, jakie charakterowi naszych rąk najbardziej odpowiadają.

Dbając należycie o piękno swych rąk, nie można zapominać, że wyraz ich, gestykulacja i umiejętność wykonywania ładnych ruchów, podnoszą walor estetyczny całej postaci. Przecież niektórzy powiadają, że najłatwiej poznać człowieka po jego rękach. Jeżeli więc mają być one obrazem naszej osobowości, trzeba koniecznie poświęcić im tyle starań i obserwacji, aby wysnuta z nich charakterystyka, odpowiadała cechom, jakie pielęgnujemy w duszy.

Elwira.



Na lewo: Masaż palców nada im pożądaną formę.



Na prawo: Rozszerzoną u nasady palców dłoń można również skorygować masażem.



Poniżej: Właściwy kształt palców uzyskany przez odpowiednie przycięcie i spiłowanie paznokci.

ZROBIĘ TO SAMA!

Kamizelka NA DRUTACH



Próbka ściegu.



Model kamizelki, której opis wykonania podajemy obok.

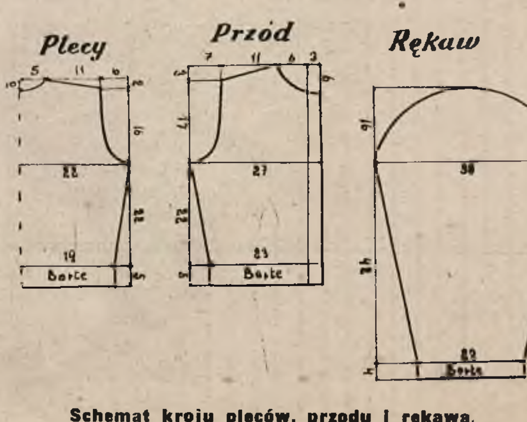
Do wykonania tej eleganckiej kamizelki trzeba najpierw przygotować sobie według naszego wzoru krój, odpowiedni do danej figury, a więc plecy, dwa przody i dwa rękawy. Według nich odrobić należy dokładnie wzór techniką drutową. Polega on na bardzo łatwym ściegu, który streszcza się w następujących zasadach: 1 oczko gładko, 1 oczko nawywrót. Po każdym drugim rzędzie, przeciwnie.

Naokoło kamizelki widzimy obramowanie (zakończenie) z innego ściegu. Robimy to w ten sposób, że w oznaczonych miejscach poświęcamy na to 15 oczek, które zmieniają się w każdym następnym rzędzie, a nie jak całość kamizelki co dwa rzędy.

Kamizelka zapinana jest kryto na zatrzaski. W miejscach, gdzie one będą naszyte, dajemy ciemniejsze kokardki, wykonane również na drutach tym samym ściegiem, co i obramowanie kamizelki.

Przy średniej wielkości i średniej grubości wełny, bierze się do wykonania tej kamizelki 120 oczek do wykonania pleców, po 70 oczek do wykonania przodów i po 55 oczek na rękawy.

Na kołnierz przygotowujemy 110 oczek, które wykonuje się na szerokość 12 cm. Powstanie w ten sposób równy pasek, który przy wszywaniu do wycięcia szyi, trzeba nieco naddawać.



Schemat kroju pleców, przodu i rękawa.

TAŃCZYMY „Lambeth Walk"

1. Maszerujemy...





2. Obrót w lewo...

3. Obrót w prawo...





4. Przyklaśnięcie...



5. Okrzyk: Oo!



Co pewien czas pojawia się na salach dancingowych jakiś nowy taniec, lansowany przez zawodowców, którego żywot bywa bardzo krótkotrwały, jako że zwykle nie nadaje się on do spopularyzowania ze względu na skomplikowany układ kroków i figur. A jednak ludzie, dążący i w dziedzinie tańca do urozmaicenia sobie życia, oddawna czekali na wzbogacenie powojennego repertuaru tanecznego jakąś nową, dostępną dla wszystkich formą. Okazał się nią „Lambeth Walk", triumfujący już dziś w Ameryce i na zachodzie Europy. Trzeba go więc poznać — trzeba go się nauczyć: 1. Pierwsza figura, to marsz (przez pierwsze dwa takty melodji). 2. Druga polega na pełnym obrocie w lewo (trzeci i czwarty takt). 3. Trzecia na takim obrocie w prawo (piąty i szósty takt). 4. Czwarta figura, to przyklaskiwanie (siódmy i pół ósmego taktu). 5. Piąta figura: okrzyk w pozycji stojącej (pół ósmego taktu). Oto cała tajemnica. — Pamiętajcie, że „Lambeth Walk" wymaga swobody i elegancji ruchów, ale nie znosi przesady!

Brummel.



RYSUNKI: ALFRED ŻMUDA

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA NEAPOLITAŃSKA. Jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki rozprowadza się przestudzonym rosołem nagotowanym z kości i włoszczyzny, dodaje 4 dkg tartego parmezanu, zagotowuje i podprawia paru żółtkami utartemi szczyptą soli. Osobno podaje się najcieńszy makaron ...ski, ugotowany w słonej wodzie i przelany następnie wodą gorącą, aby nie był kleisty.

PRZYSTAWKA Z OMLETÓW. 2 jaja, pół litra mleka, pół na pół z wodą, 5 dkg mąki, łyżkę parmezanu i troszkę soli ubija się spiralką od bicia piany aż do spienienia, następnie wysmaża z tego omlety. Podaję do wyboru przepisy na dwie nadzianki: jedną z pomidorów, drugą z szpinaku. **Nadzianka z pomidorów:** Drobno usiekaną cebułkę smaży się na łyżce masła, dodaje do tego kilka pomidorów obranych z łupki i cienko pokrajanych, lub też parę łyżek gęstej marmolady pomidorowej oraz zmieloną wątróbkę z drobiu, przedtem uduszona na maśle, Łyżką kwaśnej śmietany nadaje się potrzebna do smarowania gęstość. **Nadzianka z szpinaku:** 25 dkg obranego szpinaku gotuje się i przeciera przez sito, dodaje dwa żółtka, parę łyżek siekanej szynki i dwie łyżki śmietany. Omlety smaruje się jedną z nadzianek i układa w rynce natartej masłem jeden na grugim. Wkońcu nakłada się sztywną pianę, ubitą z paru białek, posypuje bułeczką zmieszaną z parmezanem i zapieka w piecyku.

JARSKIE ZRAZY Z KASZKĄ. Zraziki te sporządza się z świeżych lub sterylizowanych grzybów. O ile bierzemy świeże, możemy dodać do borowików również inne tańsze rodzaje, których w tym roku mamy nadmiar. Grzyby, obrane i dokładnie opłukane, miele się w maszynce wraz z surową cebulką, następnie dusi na maśle bez dolewania wody, pilnie uważając, aby się nie przypaliły. Pod koniec duszenia, tj. po godzinie dodaje się parę łyżek tartej bułki i smaży z nią jeszcze chwilkę. Przestudzone grzyby miesza się z jajem (na 25 dkg przebranych grzybów — 1 jaje), poczem z masy tej formuje się podłużne zraziki, osypuje bułeczką i osmaża na rozpalonem maśle. Oryginalny przepis francuski każe dodać do mielenia kawałek selera, zielonej pietruszki i kilka ziarn jałowcu, które to dodatki jako zagłuszające specjalny, a tak u nas lubiany aromat grzybów, świadomie opuszczam. Usmażone zraziki otacza się kaszką krakowską i polewa gęstym sosem śmietanowym. Na sos zasmaża się łyżkę mąki na łyżce masła, zalewa szklanką śmietany, dodaje szczyptę soli i odrobinę cukru dla złagodzenia smaku, zagotowuje i przeciera przez sitko wprost na półmisek z potrawą.

KOTLETY BARANIE PO SZWEDZKU. Mięso na kotlety baranie należy krajać dość grubo, bo łatwo się w smażeniu wysuszają. Trzeba więc brać na jeden kotlet po dwie kostki, jedną z nich wyciąć i odrzucić, koniec drugiej oskrobać, a po usmażeniu nałożyć na nią papilot z papieru. Kotlet lekko ubity i rozpłaszczony maczą się w roztopionem maśle, soli i kładzie na rozpalony ruszt. Smaży się przez 4 minuty z każdej strony. W braku rusztu można użyć stalowej patelni i smażyć na ostrym ogniu, gdyż mięso powinno być wewnątrz różowe. Po ułożeniu kotletów na półmisku kładzie się na każdym krążek masła serdelowego, lub też podaje osobno ostry sos musztardowo-pomidorowy (przepis podawany był niedawno). Pommes frittes lub tarte ziemniaczki podaje się jako dodatek.

SUFLET Z MELONA. Mały melon, t. zw. ananasowy, obrany ze skórki, przekrojony i obrany z pestek, kraje się w kawałki i rozgotowuje na miernym ogniu, tak aby się obeszło bez dolewania wody, poczem przeciera się przez sito. Przetarty melon wkłada się napowrot do ryneczki, dodaje 10 dkg cukru, przesmaża razem, dolewa kieliszek rumu, wciska sok z połówki cytryny a po przestudzeniu miesza się z sztywną pianą z 5—6 białek. Masę nakłada się na ogniotrwały półmisek natarty masłem, posypuje grubym cukrem krystalicznym i wstawia do gorącego piecyka na 10 minut. Podaje się z makaronikami lub biszkoptami.

BRUSZNICE zwane także **borówkami czerwonemi** bywają u nas za wcześnie na konserwy zakupywane. Najlepszą porą do sporządzania konserw z brusznic jest druga połowa października; przemarznięte troszkę brusznice tracą swą cierpkość, są łagodniejsze i nie wymagają tak wiele cukru, czem się rekompensuje wyższa ich w tym czasie cena. Konserwa z brusznic jest trwała, w jakikolwiek sposób byłaby sporządzona. Jako chętnie widziany dodatek do dziczyzny powinna być mało słodzona — wystarczy na litr brusznic 25 dkg cukru. Sposób gotowania jest bardzo prosty. Przebrane z listków i białych ziarenek, których w późniejszej porze jest już mało, brusznice przesypuje się w kamiennym garnku cukrem wedle powyższej proporcji i wstawia do piecyka na pół godziny. Kiedy wytworzy się już na dnie troche soku, stawia się je na ogniu, zagotowuje raz i odstawia, zeszumowuje i przystawia drugi raz do zagotowania, poczem gorące zlewa się do słoja lub przechowuje w tym samym kamiennym garnku, w którym się gotowały. Dla aromatu można dodać troszkę siekanej skórki pomarańczowej lub cytrynowej i razem gotować.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Wielką oszczędnością miejsca na kuchni, zwłaszcza gazowej lub elektrycznej, jest płaski rezerwoar w postaci pokrywki, w którym przy gotowaniu jakiejś potrawy grzeje się równocześnie woda. W górnej części posiada taka pokrywka otwór, szczelnie zamykany, przy pomocy którego wlewa się i wylewa wodę. Ciężką i gorącą tę pokrywkę trzeba ujmować przez grubą rękawicę, aby nie poparzyć ręki.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 41	Październik — 31 dni
NIEDZIELA **2** NPM. Różańc.	 Czysta zupa pomidorowa. Przystawka z móżdżków. Zając po angielsku. Suflet z melona. <u>Kolacja</u>: Pasztet zajęczy z sałatką.
PONIEDZ. **3** Teresy z Lis.	Zupa czernina z kluseczkami. Omlety z szpinakiem. Polędwica wieprzowa z kiszoną kapustą. Jabłka w szlafroku. <u>Kolacja</u>: Zraziki jarskie z kaszką.
WTOREK **4** Franciszka Ser.	Rosół "Julienne" z płatkami. Faszerowana papryka. Kotlety baranie po szwedzku z sosem "à la Diable" i ziemniaczkami. Kompot surówkowy. <u>Kolacja</u>: Smażona kiełbasa.
ŚRODA **5** Placyda	Krupnik na drobiu. Smażone bakłażany w cieście. Kaczka duszona z jabłkami. Kruchy placek z śliwkami. <u>Kolacja</u>: Chłopskie kotlety z szynki.
CZWARTEK **6** Brunona	Śliwczanka z ziemniaczkiem. Kapuśniaczki drożdżowe. Zrazy bite na grzybach z kaszą. Naleśniki z marmoladą. <u>Kolacja</u>: Gołąbki z kapusty i ryżu.
PIĄTEK **7** Justyny	Barszcz zabielany z twardem jajem. Bukiet jarzynowy lub kalafior. Dorsz w sosie sardelowym. Strudel z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Wędzone ryby bałtyckie
SOBOTA **8** Brygidy	Rosół z kaszką krakowską. Sztuka mięsa w sosie beszamelowym. Kotlety wieprzowe z ogórkiem. Gruszki w kompocie. <u>Kolacja</u>: Parówki na szpinaku. 

HOCKI-KLOCKI

„DZIEŃ OJCA“ W AMERYCE.



Matka, patrząc na wywieszkę składu z napisem: „Pamiętaj o ojcu“: — Jakże mogłabym o nim zapomnieć? „Esquire“

ROZRYWKI UMYSŁOWE

AUTOMAT.

Pięć zażywnych córek pana Opaślińskiego postanowiło się zważyć na automacie „za jedne dwadzieścia groszy“ w ten sposób, żeby wrzuciwszy monetę, stawać stale po dwie. Serja otrzymanych wag dziewcząt (zawsze po dwie) wyglądała następująco:

113 kg.	107 kg.
112 „	106 „
110 „	106 „
109 „	105 „
109 „	103 „

Ile ważyły córki pana Opaślińskiego z osobna?

Rozwiązania z Nru 39-go.

PODATKI, PODATKI...

Zygmunt płacił o 13.60 podatku więcej, aniżeli Władysław i na podstawie tego można obliczyć, że dochody ich wynosiły 840 zł i 940 zł. Pobory Henryka wynosiły ½ pensji Zygmunta, czyli 420 zł.

PRÓBA PAMIĘCI.

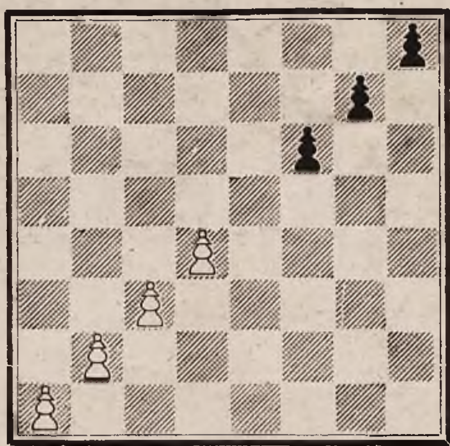
12 osób.

U DOKTORA.

Młodszy synek ma w tej chwili 4 lata.

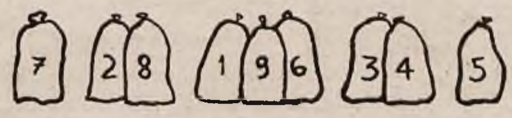
ZADANIA NA SZACHOWNICY.

Pionki posuwają się tylko na przekątni ruchami warcabowemi (nie wolno ich cofać i zabijać) i białe zajmują pola e5, f6, g7, h8, a czarne a1, b2, c3.



Białe: a1, b2, c3, d4, czarne f6, g7, h8.

WORKI Z MĄKĄ.



Młynarz ustawił dziewięć worków z mąką w pięć grup, tak, jak to wskazuje rysunek. Wówczas piętnastoletni synek młynarza zauważył, że jeśli pomnożymy 7 przez 28, to otrzymamy 196, jednak iloczyn dwóch ostatnich liczb — 34×5 — nie daje liczby środkowej. Ponieważ taki układ worków, w którymby iloczyny liczb skrajnych z obu stron dawały liczbę środkową, wydawał się chłopcu ładniejszy (był to — jak widać — urodzony matematyk), więc szybko przestawił 5 worków, uzyskując w ten sposób pożądany wynik. Jak chłopiec przestawił worki?

KOMIK SKOŃCZYŁ SWĄ KARJERĘ.



Aktor filmowy do właściciela składu z kapeluszami: — Czy mógłby pan ten kapelusz zmniejszyć? Już nie pracuję w filmie! „Esquire“

ORZECHY.

„Włożyłam 100 orzechów do pięciu torebek“ — rzekła mama do córek. „W pierwszej i drugiej jest razem 52 orzechy; w drugiej i trzeciej — 43; w trzeciej i czwartej — 34, a w czwartej i piątej — 30“.

Ile orzechów jest w każdej torebce?

Dokończenie ze str. 23-ej.

— Panie dyrektorze... dlaczego zadaje mi pan te pytania?

Chwilę milczał, wreszcie odpowiedział:

— Przed godziną telefonował do mnie Krasnocki, że jego żona otruła się tej nocy... zażyła podobno większą ilość weronalu — głos mu się załamał.

— — — — — — — — —

...Otruła się... weronałem, który ona, Anna przeznaczyła dla siebie — powtarzała sobie po raz dziesiąty. Wyszła na ulicę. Powietrze było ciepłe i łagodne, prawie tak, jak na wiosnę. Słońce świeciło jasno, zupełnie złote przy pożółkłych liściach drzew, pokrywających także i chodniki. Ludzie płynęli ulicami wezbraną i wesołą falą, tramwaje dzwoniły, ryczały syreny aut, a roznosiciele gazet wykrzykiwali przeraźliwym głosem tytuły popołudniowych wydań...

— Maryla nie żyje! i nic się nie zmieniło na świecie, mimo jej śmierci.

Tak samo działoby się, gdyby to ona, zamiast niej...

Ruch i hałas począł Annę drażnić. Zapragnęła nagle ciszy i spokoju i skierowała się ku parkowi miejskiemu. W obiadowej porze nie było tu prawie nikogo.

Usiadła na ławce w ustronnej alei. Od wilgotnej ziemi, przykrytej ścielą opadłych liści szedł zapach, jaki się jesienią spotyka najczęściej na cmentarzach. Wstrząsnęła się i obejrzała za siebie. Dokoła niej płakała jesień swemi złotemi łzami....

Dokończenie ze str. 25-ej.

Dla amatorów szampana szaloną okazją było przyjęcie u p. Olry-Roederer, na którem wypróżniono niezliczoną ilość butelek szampana „domowej marki“ (szampan Roederer należy do najlepszych!)

Najmodniejsze są w tej chwili na Riwierze przyjęcia zwane „Beach-party“, rodzaj pikniku na plaży ,na którym swoboda strojów potęguje swobodę nastroju łącząc przyjemności towarzyskie z rozkoszą kąpieli i sportów wodnych.

Koniec sierpnia upłynął na Riwierze pod znakiem tych właśnie sportów: tydzień motożeglarski w Cannes, parada jachtów prywatnych w tymże porcie, zawody pływackie w Monaco i Nicei — tyleż okazyj do przyjęć i zabaw przeplecionych pięknem corso kwiatowem pod znakiem bieli i światła, które odbyło się na Promenade des Anglais w Nicei. Rzęsiście oświetlona promenada na tle ciemnego szafiru nieba i morza stanowiła feeryczne tło dla defilady powozów i aut, przybranych białemi kwiatami i również biało odzianemi pasażerami, na których głowy sypały się białe serpentyny i confetti z rąk rozbawionych widzów. Każdy strój był dopuszczalny, musiał być jednak biały. Toteż obok wieczorowych tualet widziało się shorty plażowe, białe płócienne ubrania, a nawet — groteskowe postacie w białej nocnej bieliźnie i szlafmycach.

Riwiera bawi się jak za najlepszych czasów, choć za majestatyczną barjerą Alp coraz to rozlegają się głuche pomruki nadciągających burz... a na niedalekim półwyspie iberyjskim daleko jeszcze do końca krwawej sarabandy. Ale tu niebo jest stale błękitne, a jeśli czasem o skaliste brzegi kołacze wzburzona fala, to chyba na to, aby urozmaicić nieco nastrój bawiącej się publiczności i opłukać srebrnemi grzywami zatłoczone plaże Juan-les-Pins, czy Cannes...

Ewa Mieroszewska (Cannes).

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. W „Małem Qui pro quo" w programie pt. **„Nic nie wiadomo!"** laury zbierają: Dymsza (zwłaszcza w skeczu „Adwokat i tenor"), Kamińska, Olsza, nowopozyskana Zofja Sykulska („Białe okręty") i („Ballada o zaginionej dziewczynie") i Grossówna („Jaś Robakiewicz").

WARSZAWA. Inauguracyjny program w „Wielkiej Rewji p. n. **„Dla Ciebie, Warszawo"**, nawiązuje do tradycyj spektakli tego typu w warszawskiem Morskiem Oku. Na pierwszy plan wysuwa się wysiłek inscenizacyjny i to zmierzający do wywołania jaknajwiększego efektu ilością statystów, bogactwem kostjumów i dekoracyj. — Całość widowiska jest niejednolita. Na czoło wykonawców wysunęli się specjaliści rewjowi: Krukowski, Walter, Bodo.

Na scenie Teatru Nowego ujrzeliśmy krotochwilę Karola Huberta Rostworowskiego p.t. **„Bratnie dusze"**, dotychczas nigdzie nie granej poza Krakowem. Wystawiono ją w reżyserji A. Cwojdzińskiego. Dobrą kreację stworzył p. Roland. Z uznaniem ocenia krytyka grę pp. Lubieńskiej i Niwińskiej.

BYDGOSZCZ. W reżyserji p. E. Szafrańskiego wystawiono sztukę Alfreda Cheriego pt. **„Szóste piętro"**, która była jednym z zeszłorocznych sukcesów warszawskiego teatru Ateneum. Czołowe role wykonali pp.: Tatrzański, Kownacka, Skwierczyński, Okońska, Domańska i in. Dekoracje projekt. pp. Przeradzkiej i Jędrzejowskiego.

KALISZ. Po „Braciach Lerche" Adama Asnyka teatr kaliski wystawił komedję Grzymały-Siedleckiego p. t. **„Ich synowa"**, w reżyserji p. Stanisławy Zbyszewskiej. Role główne przypadły pp.: J. Bąkowskiej, E. Fuldzie, Z. Przeradzkiemu, H. Majewskiej i H. Łapińskiej.

WYSTAWA „DZIECKO W POLSCE.

Wystawa „Dziecko w Polsce", która otwarta zostanie równocześnie z Kongresem Dziecka w Warszawie, w dniu 2 października i potrwa przez cały miesiąc, będzie niezawodnie jedną z najpopularniejszych i najciekawszych wystaw.

W gmachu przy ul. Nowogrodzkiej 74/76 Wystawa zajmie parter i dwa piętra. Na dole znajduje się reprezentacyjny hall oraz działy opieki nad dzieckiem od niemowlęctwa, rozwój dziecka, dom rodzinny, żłóbki dzienne. Osobno mieścić się będzie dział opieki nad macierzyństwem.

Na I-szem piętrze znajdą się działy, obrazujące zagadnienia szkolnictwa, przedszkoli i szkół, wyboru zawodu i orjentacji zawodowej, wreszcie urabiania obywatelskiego i społecznego charakteru dziecka.

Na II-giem piętrze zarezerwowano miejsca dla Komitetów wojewódzkich Kongresu, dla instytucyj społecznych oraz dla stoisk firm handlowych i przemysłowych. Znajdzie się tu również dział książek dla dziecka i książek o dziecku.

Jako modele będą wystawione niektóre urządzenia z zakresu instytucyj opiekuńczych dla dzieci, pomoce przedszkolne i zabawki dla dzieci. Pokazany będzie sklepik uczniowski i świetlica harcerska.

Na wystawie znajdą się eksponaty artystyczne, stanowiące plon dwu konkursów, sztuk plastycznych (obrazy, rzeźby, rysunki) oraz fotografij. Przewodnikiem po wystawie będzie katalog, opracowany przez Komitet organizacyjny wystawy i wydany w dużym nakładzie.

NOWE KSIĄŻKI

Henryk Mann: „Henryk IV na wyżynach sławy". (Rój). W pierwszym tomie tej wielkiej powieści biograficznej ukazał autor Króla Henryka IV w latach górnej i chmurnej młodości, w latach walk, tułaczki, ucieczek i krycia się przed wrogami i prześladujących go losem. Drugi tom ukazuje króla w latach dojrzałych, około 40-tki. Wypadki nie pozwalają królowi spocząć ani na chwilę. Momenty najbardziej intymne z życia Henryka IV splotły się w książce Manna z głośnymi wypadkami historycznemi. Panowanie władcy musiał okupić Henryk długiemi walkami.

W tomie II-gim widzimy króla na szczytach sławy. Król zwycięża, zdobywa, pokonuje. Ale nie jest to król bezwzględny wobec swoich podwładnych, król ponurego średniowiecza. Humanizm wycisnął na nim swe cechy. Walcząc zacięcie o prawa do korony, nauczył się cenić trud własny, a tem samem oceniać wysiłki innych. Dla wrogów bezwzględny, jest łaskaw i pełen troski o dobro poddanych.

A jednak otaczają go sieci spisku, które musi misternie rozplątywać, by się nie dać uwikłać.

S. P.

KONKURS NA FELJETON

Przypominamy, iż zbliża się termin zamknięcia konkursu na feljeton, ogłoszonego w maju roku bieżącego przez Związek Księgarzy Polskich.

Warunki konkursu są następujące:

1) Tematem feljetonu winna być książka.

2) Treść, rozmiar i forma feljetonu są najzupełniej dowolne.

3) W konkursie mogą wziąć udział tylko feljetony drukowane w prasie polskiej w okresie **od 1-go czerwca do 30 września 1938 roku.**

4) Nagrody wyznacza się trzy:
I w kwocie **zł. 200.—**
II „ **zł. 150.—**
III „ **zł. 100.—**

5) Termin ostateczny zgłaszania feljetonów na konkurs upływa **dnia 15-go października 1938 r.**

6) Do feljetonów ogłoszonych w druku pod pseudonimem winna być dołączona zamknięta koperta z nazwiskiem i adresem autora.

7) Do feljetonów ogłoszonych w druku pod własnem nazwiskiem winien być dołączony adres autora.

Jeżeli feljeton nadesłany zostanie w formie rękopisu, maszynopisu czy wycinka z pisma, to należy podać w jakiem piśmie polskiem i kiedy był wydrukowany.

9) Skład sądu konkursowego zostanie ogłoszony wkrótce.

10) Feljetony na konkurs nadsyłać należy pod adresem redakcji „Przegląd Księgarskiego": Warszawa, ul. Kredytowa 10 m. 7 z zaznaczeniem na kopercie: „Konkurs".

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 2 października.

9.15 Regjonalna transmisja z Zaleszczyk.
12.03 Koncert symfoniczny w wykonaniu Krak. Ork. Symf.
16.00 „Gdy miał trzydzieści lat", słuchowisko z życia Sienkiewicza.
16.30 Utwory fortep. w wyk. Al. Brachockiego.
19.30 Słynni wirtuozi — Marjan Andersen (kontralt) i E. Morini (skrzypce).
20.00 „Damy i huzary" — Opera komiczna w 3 aktach.

Poniedziałek, 3 października.

16.30 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego.
17.10 Litwa współczesna — reportaż.
17.25 Najpiękniejsze a zapomniane pieśni Wł. Żeleńskiego.
18.30 Muzyka lekka w wyk. Rozgłośni lwowskiej.
21.00 Koncert Chóru katedralnego z Poznania.
22.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R.

Wtorek, 4 października.

17.30 „Z pieśnią po kraju".
19.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
19.40 Koncert rozrywkowy z Berlina.
21.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu Okiestry z Poznania.
22.15 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela (XIII audycja).

Środa, 5 października.

16.30 Koncert kameralny.
17.15 W przybytku muz na wiedeńskiem poddaszu — aud. słowno-muz.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Marji Wiłkomirskiej.
21.30 Wieczór literacki: „Rozmowa o dramacie i scenie".
22.00 Koncert orkiestry B. B. C. pod dyr. Adrjana Boulta.

Czwartek, 6 października.

16.35 Pieśni polskie w wykonaniu Janiny Szczygłówny.
17.15 Koncert solistów.
21.00 Koncert kameralny z Poznania z okazji Tyg. Muz. Pols.
23.05 Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R.

Piątek, 7 października.

16.30 Recital śpiewaczy Michała Zabejdy-Sumickiego.
17.05 Recital organowy Bolesława Szabelskiego.
18.30 Premjera słuchowiska „Nie budź mnie".
19.00 Koncert rozrywkowy z Torunia — Kapela Malczewskiego.
21.00 Chór P. R. pod dyr. Stanisława Nawrota.
21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji warszawskiej.

Sobota, 8 października.

11.25 Marsze i tańce stylizowane.
15.30 Orkiestra Rozgłośni wileńskiej.
19.15 Koncert rozrywkowy ze Lwowa.
21.00 „Zemsta nietoperza" — operetka w 3 aktach.
23.15 Muzyka lekka i taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.